

Łabędź tańczący z kotami

Lygrys Ver Laver

Po otwarciu drzwi mieszkania, powitała mnie młoda kobieta o szczerym uśmiechu i radosnym błysku w oczach. Zaprosiła mnie do środka - udaliśmy się do dużego salonu z kominkiem. Niedaleko kominka stała niebieska kanapa i dwa niebieskie fotele, na środku - duży stół z sześcioma krzesłami, a pod ścianą - wysoka witryna w całości wypełniona porcelaną w kwiatowe wzory. Na pierwszym fotelu leżała, rozciągnięta, jedna z kotek Lygrys. Usiadłem na drugim fotelu. Lygrys podeszła do kanapy, na której spały pozostałe jej koty, w liczbie czterech - lekko je rozsunęła i usiadła między nimi.

"W czasie opowiadania będę mówić o sobie Werka - bo tak mówiono do mnie od dziecka i tak nazywałam sama siebie w swoich myślach. Pewnie będę mówić zbyt rozwlekle i zbyt szczegółowo - to jedna z autystycznych cech mojej osobowości" - rzekła wyjaśniająco. Lygrys zdaje się być osobą o niezwykłych zdolnościach do retrospekcji i introspekcji. Faktycznie mówiła rozwlekle - bardzo opisowo i niezwykle szczegółowo, używając bogatego słownictwa. Wyraźnie było widać jej głębokie zainteresowanie psychologią i zawziętość ludzkich relacji. Wiele jej wspomnień ma kształt obrazów, pełnych emocji i przemyśleń. O traumatycznych wydarzeniach mówiła ze spokojem osoby poukładanej samej ze sobą. Czasami sprawiała wrażenie, jakby miała "utonąć" w danym wspomnieniu - jakby faktycznie te wspomnienie miało wciągnąć ją i przenieść w inny czas i przestrzeń.

Każdy łabędź był brzydkim kaczątkiem. Najważniejsza baśń - myśl przewodnia życia

Szczególnie sentymentalnym przedmiotem z mojego dzieciństwa jest książeczka z baśnią "Brzydkie kaczątko". To była moja pierwsza baśń - i jednocześnie jedyna, jaką miałam do około 7-go roku życia. Matka czytała mi "Brzydkie kaczątko" przed snem - miesiącami, niemal wieczór w wieczór. To był mój rytuał przed zaśnięciem. Bez odsłuchania tej baśni miałam problem zasnąć - więc musiała to robić. Z tego, co pamiętam, baśń tę wybrałam w sklepie sama, kiedy miałam może z 5 lat lub mniej - po prostu spodobała mi się przedstawiona zwierzęca scenka rodzajowa na okładce. Cieszę się, że wybrałam właśnie ją - baśń o brzydkim kaczątku, które tak naprawdę było pięknym łabędziem, ale było uważane za brzydkie i nie takie jak trzeba tylko dlatego, że wychowywało się nieswoim w środowisku, które go nie rozumiało. Dlatego łabędziątko - wiedzione przeogromnym wewnętrznym pragnieniem - wyrusza na poszukiwanie swoich. Moim zdaniem to najlepsza baśń, jaką może mieć czytana do snu mały autysta. Ja również opuściłam swój dom rodzinny i wyruszyłam w świat na poszukiwanie "swoich". Czasami nawet jako już dorosła wracam wspomnieniami do tej baśni i myślę o tym, że jestem właśnie jak ten mały, zagubiony łabądek - napędzany jakimś dziwnym, ale jak najbardziej słusznym przekonaniem, że to nie jest tak, że to on jest wadliwy, lecz jest on po prostu niepasujący do miejsca swojego urodzenia. Ja też nie pasuję do miejsca mojego urodzenia. I od zawsze szukałam "swoich". Innych Werek. Baśń o brzydkim kaczątku pewnie znacząco przyczyniła się do powstania mojego mitu osobistego. Poza tym, czy nie mówi się, że łabędzie są nieme? [Lygrys zaśmiała się.] A ja nie urodziłam się gadułą. Owszem, zostałam gadułą, ale urodziłam się zgoła inna.

Moją drugą baśnią jest "Mulan" - ona też świetnie do mnie pasuje! Mulan to fajtlapa, która wytrwale i skutecznie uczy się samodzielności i walki - walki o siebie i walki o swoich bliskich! No i znajduje swojego mistrza. Mentora. Fajtlapy nigdy nie przestają być fajtlapami same z siebie.

Łabędź jest niemy

Urodziłam się 27 lipca 1995 r., jako pierworodne dziecko moich rodziców i jednocześnie pierwsze dziecko z mojego pokolenia.

Jeszcze w czasie rozwoju prenatalnego były ze mną problemy - pochodzę z zagrożonej ciąży - moja matka przez kilka tygodni leżała w szpitalu na oddziale patologii ciąży z powodu tego, że u mnie w fazie płodowej lekarze nie mogli wyczuć tętna i dwukrotnie proponowali mojej matce wykonanie łyżeczkowania macicy. Moja matka jednak za każdym razem odmówiła. Po paru tygodniach moje tętno ponownie zrobiło się wyczuwalne i moja matka mogła opuścić szpital i resztę ciąży spędzić w domu. Oczywiście, moja matka urodziła mnie w szpitalu.

Od razu po moich narodzinach lekarze zobaczyli, że jest ze mną coś nie tak - urodziłam się z kompletnym obustronnym rozszczepem podniebienia. Pośrodku mojego podniebienia była duża szczelina. Z tego powodu miałam problem z przyjmowaniem pokarmu, nie mogłam prawidłowo ssać i moja matka była zmuszona karmić mnie mlekiem modyfikowanym z butelki o specjalnym kształcie smoczka - niwelującym ryzyko zachłyśnięcia się. Rozszczep podniebienia uniemożliwiał mi także naukę mowy - innymi słowy: urodziłam się niemową.

Łabędź skrzeczy, zanim nauczy się śpiewać

Medycyna, na szczęście, nie była przeciwko temu bezradna. W wieku dwóch lat, w szpitalu dziecięcym w Krakowie, przeszłam operację rekonstrukcji podniebienia. Przez kolejne dwa lata od dnia operacji przechodziłam comiesięczne kontrole blizny pooperacyjnej. Pierwsze słowa zaczęłam wypowiadać dopiero w wieku około pięciu lat - widocznie dopiero wtedy mój aparat mowy był gotowy do użytkowania. Niestety, nauka mówienia szła mi bardzo ciężko: mocno sepleniałam, a do tego do siódmego roku życia całkowicie nie potrafiłam wypowiedzieć spółgłoski "r" - przez co jako dziecko przedstawiałam się jako "Welka" zamiast "Werka". By nauczyć się poprawnej wymowy, od pierwszej do trzeciej klasy szkoły podstawowej, dwa razy w tygodniu, jeździłam na indywidualne zajęcia terapii mowy u logopedy. Chociaż te zajęcia były dla mnie bardzo trudne i wymagające, to lubiłam je - pani logopedka miała do mnie bardzo dobre podejście i wiedząc, że najbardziej interesują mnie przyroda i zwierzęta, przygotowywała i dawała mi zadania głównie właśnie w tej tematyce, co motywowało mnie do mówienia.

Nauka śpiewu boli

Jednak największym problemem w mojej nauce mówienia nie były błędy w wymowie, lecz to, że przez pierwsze lata... mówienie momentami sprawiało mi niesamowite cierpienie! To było cierpienie czystofizyczne: do około ósmego roku życia, w czasie wypowiedzania niektórych spółgłosek, wypukła blizna na moim podniebieniu przeszywająco bolała mnie i swędziała, na całej swojej wielkości - czyli od zewnątrz, poprzez środek aż do wewnątrz, jakby od strony mózgu. Przy czym najgorszy dla mnie był nie ból, a uczucie swędzenia - było to naprawdę okropne i przeraźliwe uczucie mrowiącego swędzenia obejmujące całą bliznę i nieubłagane rozchodzące się wokół niej od wewnątrz. Swędzenie to doprowadzało mnie do takich prób przyniesienia sobie ulgi i ukojenia, jak usilne i wielokrotne wyobrażanie sobie, że drapię się po ten bliźnię jeżdżąc po niej i wbijając w nią ostry koniec noża... Ale w rzeczywistości poprzestawałam na drapaniu się po bliźnię palcem - albo samym albo owiniętym kawałkiem ręcznika papierowego o chropowatej strukturze. Zgłaszałam moje cierpienie moim rodzicom, którzy następnie poradzili się pani logopedki - ta jednak poinformowała ich, że nie słyszała wcześniej o czymś takim i takie dolegliwości nie powinny mieć miejsca. Rodzice stwierdzili więc, że moje dolegliwości nie są prawdziwe. Nikt wtedy nie wiedział ani o tym, że jestem autystyczna ani o tym, że jestem nadwrażliwa sensorycznie - a obie te rzeczy sprawiają, że posiadam inny system nerwowy od systemu nerwowego przeciętnego nieautystycznego człowieka, co sprawia, że moje przetwarzanie

bodźców może być inne od przeciętnego - tym samym może mi sprawiać ból i cierpienie coś, co innym osobom ich nie sprawia.

Jako dziecko stanęłam więc przed wyborem: pozostanie niemową i nie sprawianie sobie cierpienia albo próba nauczenia się mowy i używanie jej pomimo cierpienia, które mowa sprawia. Wiedziałam przy tym, że jednocześnie jest to wybór: nie mów, nie cierp i nie bądź częścią społeczeństwa albo mów, cierp i bądź częścią społeczeństwa...

A chciałam być częścią społeczeństwa. **BARDZO CHCIAŁAM BYĆ CZĘŚCIĄ SPOŁECZEŃSTWA. A NADER BARDZO NIE CHCIAŁAM BYĆ WYRZUTKIEM.**

Postanowiłam, że nauczę się mówić niezależnie od tego, ile trudu, bólu i cierpienia mi to przyniesie. Cieszę się, że wybrałam tę opcję, bo teraz jestem pełnoprawnym członkiem społeczeństwa. A z upływem czasu, na szczęście, blizna na podniebieniu przestała mi dokuczać.

“Staw” pochodzenia

Dorastałam na wsi, w dużym domu z gospodarstwem i ogrodem, gdzie do mojego ósmego roku życia mieszkaliśmy w piątce: ja, moi rodzice i moi dziadkowie (rodzice mojej matki). Potem urodził się mój brat i było nas już sześcioro domowników. Nie mieszkaliśmy jednak do końca w jednym domu: wielka bryła budynku od początku została przedzielona przez pół na dwa mniejsze domy. Ja swobodnie mogłam przemieszczać się z jednego do drugiego domu - jako jednocześnie córka i wnuczka byłam takim “domownikiem uniwersalnym” dla obu domów. W domu należącym do moich rodziców od początku miałam swój pokój. Często jednak spałam w domu dziadków - czułam się tam naprawdę dobrze i bezpiecznie - zaopiekowana, chciana i kochana. U dziadków miałam całe piętro dla siebie - były tam dwa pokoje, szeroki korytarz z szafą i łazienka. W domu dziadków spałam różnie: zarówno sama w salonie na piętrze, jak i z dziadkami - na osobnym łóżku, w salonie na parterze. Oprócz moich rodziców i dziadków, od zawsze miałam też towarzystwo rodzeństwa moich rodziców: moja matka ma jedną siostrę, a mój ojciec ma trzech braci i jedną siostrę. Moi rodzice, tak samo jak ja, są pierworodni - mają więc tylko młodsze rodzeństwo. Od zawsze lubiłam wszystkich moich stryjów, wujków i ciotce - byli i są oni dla mnie dobrzy, mili i serdeczni, pamiętają o mnie, a jako dziecku na urodziny i pod choinkę dawali mi prezenty.

Ojciec

Kiedy się urodziłam, oboje moi rodzice mieli po 23 lata.

Mój ojciec pochodzi z dysfunkcyjnej rodziny, gdzie jego matka była alkoholiczką.

Alkoholiczką, na szczęście, spokojną i niegroźną - niestosującą przemoc, a jedynie co jakiś czas znikającą z domu na parę dni. Ojciec mojego ojca także na ogół nie stosował przemoc wobec swoich dzieci. Jako najstarsze z pięciorga rodzeństwa, mój ojciec opiekował się swoim rodzeństwem - mając 15 lat gotował obiady dla całej rodziny, a do swojej siostry (najmłodszej z rodzeństwa) mój ojciec, zamiast rodziców, chodził do szkoły na wywiadówki. Mój ojciec od początku był bardzo odpowiedzialny, wręcz nadodpowiedzialny.

Ojciec po skończeniu szkoły zawodowej odbył obowiązkową służbę wojskową. Niedługo po powrocie z wojska, na wiejskiej zabawie dożynkowej, poznał moją matkę, z którą wziął ślub. W chwili ślubu moi rodzice mieli po 22 lata.

Mój ojciec, w chwili moich narodzin, z zawodu był pomocnikiem na budowie. Kiedy miałam niespełna rok, nastąpiła redukcja etatów w firmie, w której pracował i stracił pracę. Ojciec był bezrobotny jedynie przez kilka miesięcy - pewnego dnia twardo postanowił, że bierze swoje życie w swoje ręce, wziął pożyczkę inwestycyjną i założył swoją własną firmę! Miałam rok, kiedy mój ojciec został przedsiębiorcą - założył jednoosobową działalność gospodarczą o profilu handlowo-usługowym.

Oprócz działalności gospodarczej mój ojciec jest także rolnikiem - uprawa roślin to jego pasja. Odkąd pamiętam, uprawia niemal 10 hektarów pól, na których co roku sadi głównie zboża. Ma także plantację krzewów owocowych. Preferuje nowoczesne metody upraw -

dlatego jego plantacja posiada inteligentny system nawadniania kropelkowego sterowany komputerowo.

Mój ojciec jest człowiekiem bardzo odpowiedzialnym i niezwykle pracowitym - codziennie pracuje od 8:00 do 19-20, a w sezonie rolniczym nawet do 22-giej i później, w razie potrzeby. W firmie ojciec pracuje od poniedziałku do soboty, a na roli nierzadko także w niedzielę.

Mój ojciec utrzymuje relacje - i są to ciepłe, pozytywne relacje - z całą swoją rodziną! A rodzina pochodzenia mojego ojca jest naprawdę duża - wesela w niej często liczą po ponad dwieście osób. Ojciec jest mocno zżyty ze swoim rodzonym rodzeństwem, jest w pozytywnych relacjach ze swoim rodzeństwem ciotecznym, swoim rodzeństwem stryjecznym, a także zna wszystkich swoich wujków, stryjów i wszelkiego rodzaju spokrewnionych i spowinowaconych.

Mój ojciec kocha bycie kierowcą i jazdę samochodem - niemal jest od niej uzależniony. Tak samo jak mi, mojemu ojcu jazda samochodem daje poczucie wolności, swobody, samodzielności, siły sprawczej i niezależności.

Matka

Moja matka jest bardzo inna od mojego ojca. Jedyne kontakty, jakie utrzymuje ona z rodziną swojego pochodzenia, to kontakty ze swoim ojcem i ze swoją siostrą. W rodzinie pochodzenia mojej matki zawsze było niezbyt dobrze z utrzymywaniem relacji rodzinnych. W rodzinie mojej babci (matki mojej matki) było w miarę normalnie, ale już w rodzinie mojego dziadka (ojca mojej matki) działo się źle. Na tyle źle, że mój dziadek - pierworodny z dwanaściorga rodzeństwa - był zmuszony opuścić swój dom rodzinny mając zaledwie 12 lat!

Relacja mojej matki z jej siostrą zmieniała się na przestrzeni lat - jako dzieci konkurowały ze sobą, sprzeczały się, biły i dokuczały. W dorosłości ich stosunki zmieniły się na zdystansowane i lekko niechętne - by ulec nagłemu, nieradykalnemu ociepleniu w chwili śmierci ich matki-mojej babci.

Moja matka nie lubi jeździć samochodem - tłumaczy to tym, że w czasie prowadzenia pojazdu czuje się słabo i boi się, że zemdleje. Mimo to moja matka ma prawo jazdy i w razie potrzeby prowadzi samochód - chociaż głównie na krótkie dystanse. Moja matka potrafi obsługiwać wózek widłowy i przeprowadzać mniejsze załadunki na terenie swojej firmy. Moja matka również jest przedsiębiorcą - prowadzi identyczną firmę, jak mój ojciec: taki sam asortyment i zakres usług, ale swoje miejsce i swoje maszyny.

Brat

Kiedy miałam 8 lat, matka urodziła mojego brata. Ale jest on moim bratem jedynie przez fakt powstania z tych samych rodziców. Dlatego nie chcę o nim opowiadać.

Łabędź i osa

Aby najlepiej ująć relacje pomiędzy mną a moją matką, muszę wpiery opowiedzieć dwa różne wspomnienia z mojego dzieciństwa.

Pierwsze to moje szczególne wspomnienie z mojego dzieciństwa - a jest ono szczególnie dlatego, że to pierwsze wspomnienie, z którego pamiętam moje przemyślenia moralne. Wspomnienie wygląda tak: miałam pięć lat i byłam w czereśniowym ogrodzie koło domu. Chodziłam i podziwiałam rośliny i zwierzęta. W pewnym momencie znalazłam, wydrążone w ziemi, gniazdo os. Najpierw kucnęłam nad gniazdem i podziwiałam owady, które wchodziły i wychodziły do swojej ziemnej kryjówki. Potem jednak dopadła mnie nuda. Z nudy połączonej z ciekawością wzięłam mokre grudy ziemi i zakleiłam osom wejście do ich gniazda - ale zrobiłam to tak, by ściana ziemi była w miarę cienka - albowiem nie chciałam trwale uwięzić os w gnieździe, a jedynie chciałam zobaczyć, jak osy będą próbowały się wydostać. W tym akurat momencie przez ogród przechodziła moja babcia (matka mojej matki) - widząc, co

robię, ostrzegła mnie, że osy mogą zrobić się agresywne, bo się przestraszą i będą chciały bronić siebie i swojego gniazda. Ja jednak zignorowałam te ostrzeżenie, a babcia poszła dalej. Po chwili okazało się, że - tak, jak ostrzegła mnie babcia - oprócz os w środku gniazda, zdenerwowały się także osy, które zostały na zewnątrz. Osy z zewnątrz zaczęły wracać do gniazda - a widząc, że nie mogą się do niego dostać, zaczęły nerwowo latać wokół niego, szukając przyczyny takiego stanu rzeczy. Jedna z os dostrzegła mnie - po czym przypuściła atak, wleciała mi do majtek i użądliła mnie w lewy pośladek! Ja z bólu zaczęłam płakać na głos. W ogrodzie znajdowała się też moja matka. Usłyszawszy mój płacz, moja matka przybiegła do mnie, zobaczyła latające wokół osy, a ja powiedziałam "Boli!", po czym wskazałam na mój lewy pośladek. Matka rozebrała mnie i z moich majtek wytrzepała na ziemię osę - po czym, zobaczywszy co to jest, matka szybko rozdeptała osę butem... Zobaczyłam rozgniecioną osę, która przestała się poruszać i stała się martwa! Patrzyłam na to ze zgrozą - uświadomiłam sobie, że przecież to ja zakleiłam wejście do gniazda i sprawiłam, że osy stały się agresywne, przez co jedna z os mnie użądliła - czyli przez moje działanie, a następnie przez moją reakcję ta osa została zabita! Osa została zabita będąc niewinna tej sytuacji, a winną tej sytuacji byłam ja!

Rozpłakałam się jeszcze bardziej. Matka dopytywała mnie, dlaczego nadal płaczę - w końcu wysyłabowałam: "Nie chciałam". Matka najpierw spytała, czy mam na myśli to, że nie chciałam zakleić osom wejścia do gniazda. Powiedziałam jednak "Nie", po czym wskazałam palcem na osę i powiedziałam, płacząc: "Nie chciałam... byś Ty...", na co matka spytała, czy mam na myśli to, że nie chciałam, by rozdeptała osę - ja przytaknęłam.

W tej całej sytuacji dziwne i niezrozumiałe było dla mnie to, że moja matka do mojego płaczu podeszła czysto zadaniowo - wyeliminowała to, co zadało mi ból... Ale mnie nie przytuliła i nie pocieszyła - nie dała mi swojej bliskości i czułości. Nie zapytała mnie też, czego ja chcę, zanim podjęła swoje działanie.

Jednak te wspomnienie nie zapadło mi w pamięć tak szczególnie z powodu reakcji mojej matki, a z powodu tego, że to był pierwszy raz w moim życiu, jaki pamiętam, kiedy poczułam się autentycznie winna - winna tego, że przeze mnie wydarzyło się coś złego. Pierwszy raz miałam wyrzuty sumienia, że zachowałam się w taki, a nie w inny sposób.

Innymi słowy: już w wieku pięciu lat miałam wyrobioną moralność mówiącą o tym, że nie należy robić rzeczy, które krzywdziłyby jakiegokolwiek inne żywe istoty.

Dobre sieroty to martwe sieroty

A potem coś się we mnie zmieniło...

Mam inne, późniejsze wspomnienie. Mając 7-9 lat, miałam w głowie następującą myśl-wizję:

Uzbrojona w kałacha, wparowuję do domu dziecka. Staję naprzeciwko sierot (głównie płci męskiej)... Wszystkie te sieroty - co do jednej, dokładnie i bez litości - rozstrzeliwuję. Zabijam je. Bezlitośnie.

Ta nagła zmiana mojego podejścia do rzeczywistości była spowodowana bardzo konkretnym powodem. Powodem tym było to, jak moja matka zachowywała się wobec mnie. W tamtym czasie - właśnie wtedy, kiedy miałam 7 i więcej lat - na kanale Drugim Telewizji Polskiej, wieczorami, była emitowana telenowela dokumentalna o tytule "Kochaj mnie" - o losie dzieci przebywających w domach dziecka, w rodzinach zastępczych i w rodzinach adopcyjnych.

Moja matka, w czasie trwania emisji tego programu, wołała mnie do siebie, po czym kazała mi bardzo uważnie go oglądać - i praktycznie za każdym razem, po wspólnym oglądaniu, moja matka mówiła do mnie, że jeśli będę niegrzeczna, nieposłuszna lub leniwa, albo też jeśli będę ją denerwować, to ona pójdzie do takiego domu dziecka i wymieni mnie na jedną z sierot - mnie zaś zostawiając w bidulu zamiast tej sieroty! Argumentowała to słowami: "Takie sieroty jedyne czego chcą, to mieć rodziców - dlatego, jakby ktoś je przygarnął, to byłyby pracowite, posłuszne i robiłyby, co im adopcyjni rodzice karzą! A w domach dziecka z

dziećmi się nie cackają, dlatego takie dzieci są nauczone pokory, posłuszeństwa i pracowitości! Nie to, co Ty, Werka! Jakbym wzięła taką sierotę z biduła, to ta sierota robiłaby wszystko, co bym chciała i pomagałaby w domu i koło domu! Nie byłaby takim darmozjadem jak Ty!"

Nie rozumiałam, dlaczego moja własna matka mówi mi takie okrutne i pozbawione miłości rzeczy!

Te straszne słowa mojej matki budziły we mnie niezwykle silny sprzeciw, z którego to sprzeciwu wzięła się powyższa wizja bezlitosnego mordowania dzieci z biduła - wizja eliminowania konkurencji w dostępie do matki! Dramatyczna wizja dziecka, podyktowana skrajnym lękiem i rozpaczą przed utratą rodzica - utratą rodzica w wieku, kiedy skutkuje to trafieniem do domu dziecka lub zagładą!

A ja chciałam żyć! Mój umysł musiał więc wymyślić coś, co chroniłaby mnie przed popadaniem w rozpacz na te przerażające słowa mojej matki.

Sieroty niewinne. Winna matka

Jednak im dłużej słuchałam słów mojej matki i im dłużej zastanawiałam się nad tą sytuacją i całym jej kontekstem, tym bardziej nie rozumiałam tego, o czym moja matka mówi. Pewnego dnia zastanowiłam się, co prowadzący mówił w tym programie - a mówił np. o tym, że jedne z dzieci trafiły do domu dziecka po tym, jak zostały odebrane rodzicom, którzy się nad nimi znęcali... A przecież moja własna matka biła mnie i wyzywała - bezlitośnie! Moje wspomnienia z matką z okresu dzieciństwa, to jest niesamowicie wiele scen bicia mnie, ubliżania i wyzywania. Bicia i ręką, i pasem, i kablem! Za to nie pamiętałam ani jednego razu, by matka mnie przytuliła... Mój wniosek był jasny: moja matka nie dostałaby żadnego dziecka z biduła, bo absolutnie nie spełniłaby wymogów, by takie dziecko dostać! Co więcej: jakby opieka społeczna dowiedziała się o tym, że moja matka mnie bije i wyzywa, to mnie samą zabraliby do biduła!

Pewnego dnia, kiedy znów miałam przed oczami wizję rozstrzeliwania dzieci z domu dziecka, wyobraziłam sobie, że na końcu - jak jest już po wszystkim, a ja stoję samotnie nad ich zmasakrowanymi zwłokami - myślę sobie: "Biedne jesteście. W sumie niczemu nie jesteście winne. Niczemu. Jesteście całkowicie niewinne! To moja matka sprawiła, że staliście się dla mnie zagrożeniem i musiałam Was zabić, by matka się mnie nie pozbyła. W takim razie to ja jestem winna tej sytuacji - to ja z zazdrości o matkę Was pozabijałam! Ale ja nie widziałam innego rozwiązania!"

Refleksja nad zwłokami

Po tym opowiedziałam mojej matce pierwszą wersję wizji - w nadziei, że przestanie mnie ona dręczyć, kiedy zrozumie, co rodzi się w moim umyśle pod wpływem jej słów. Moja matka jednak odpowiedziała mi, że jestem potworem, skoro potrafię wyobrazić sobie takie rzeczy! Po słowach matki przez pewien czas zastanawiałam się nad tym, czy faktycznie jestem potworem...

Potem jednak znowu przywołałam widok siebie znad zwłok sierot - tym razem moje myśli do samej siebie były dłuższe: "Biedne jesteście. W sumie niczemu nie jesteście winne. Niczemu. Jesteście całkiem niewinne! To moja matka sprawiła, że staliście się dla mnie zagrożeniem i musiałam Was zabić, by matka się mnie nie pozbyła. W takim razie to ja jestem winna tej sytuacji - to ja z zazdrości o matkę Was pozabijałam! Ale ja nie widziałam innego rozwiązania! Ale przecież... Przecież ja sama nie wymyśliłam tego, że można mnie zamienić w zamian za dziecko z biduła i mnie w tym bidulu zostawić... To moja matka to wymyśliła... A co to za matka, która opowiada swojemu dziecku takie straszne rzeczy! I bije je! Ona żadnego dziecka z biduła by nie dostała! Nie dość, że mnie bije, to jeszcze mnie straszy! Straszy mnie tak bardzo, że mam przez to takie straszne obrazy w głowie! A wcale nie chciałam ich mieć! Moja matka sprawia, że mam w głowie potworne rzeczy! Tak

naprawdę to ani te sieroty ani ja nie jesteśmy niczemu winne! My jesteśmy tylko dziećmi! To matka jest dorosła! To ona mnie straszy! To ona jest temu winna! Moja matka to potwór!”
Potem przyszła myśl-olśnienie: “Po co starać się o matkę, skoro matka to potwór?!” I te zdanie tak mi dudniało w głowie i dudniało... Potem jeszcze przyszło do mnie: “Wasze matki też są potworami, skoro tutaj jesteście. Ani moja matka ani Wasze matki nie ponoszą żadnej kary. To my cierpimy. Powinnam Wam współczuć, a nie Was zabijać. Macie matki równie złe lub gorsze, niż moja matka. Po co ja Was zabijam? Dla matki-potwora?!”

Duża Werka i Mała Werka

Po więcej niż roku od pojawienia się wizji, w której stwierdzam o winie mojej matki, miałam nową wizję:

Jestem dorosła i samodzielna. Jestem Dużą Werką. Idę przez dom dziecka. Nieuzbrojona. Spokojna. Oczekująca. Wychodzę z budynku na bidulowy plac zabaw - tam na ławce siedzi Ona. Mała Werka. Nie moja wersja z przeszłości, ale inna dziewczynka. (Po prostu w żadnej wersji wizji nie ma nadanego swojego imienia.) Ma około 7-9 lat, a z urody wygląda bardzo podobnie do mnie - ma jasną cerę, ciemne włosy i ciemne oczy. Widać po jej spojrzeniu, że w swoim krótkim życiu wiele przeszła. Podchodzę do Małej Werki, wyciągam do Niej rękę i mówię: “Już nie jesteś sama. Chodź, ze mną będziesz bezpieczna. Będę Cię kochać i dbać o Ciebie. Będziemy razem. Już nigdy więcej nie będziemy same.” Mała Werka bierze mnie za rękę, a potem razem opuszczamy dom dziecka. Zostaję opiekunką Małej Werki. Nie matką. Opiekunką. Kimś, kto faktycznie będzie się nią opiekował.

Matka kaczką dziobie łabądko

Wizje, jakie sprowadziły na mnie słowa matki, bardzo dobrze świadczą o tym, jaki degeneracyjny wpływ na moją psychikę miała postawa mojej matki wobec mnie. Moim szczęściem było to, że nawet z tych wizji potrafiłam wybrnąć w zdrowy sposób. Ale stosunek mojej matki do mnie pozostał zawsze taki, jaki był. Moja matka od zawsze była dla mnie bardzo odrzucająca. Bardzo ciężko zniósła fakt, że urodziła kalekie dziecko - wyraźnie dawała mi to poznać, mówiąc do mnie “niemowo” i “seplenicho”.

Ciekawe w kontekście osoby mojej matki jest to, że - pomimo tego, jak wcześniej zachwalała dzieci z domu dziecka - już parę lat później zaczęła stosować wobec mnie określenie “sierota” jak najgorszą obelgę! Kiedy byłam niepełnoletnia, zwykle wyglądało to tak, że matka mówiła w bardzo negatywnym kontekście, że “zachowuję się jak sierota” lub, że “wyglądam jak sierota” - po czym dawała mi przez łeb! Kiedy stałam się pełnoletnia, matka mówiła to samo, ale bez dawania mi po głowie. Po prostu moja matka jest niespójna sama z sobą plus w ogóle nie nadaje się na matkę - i tyle.

Moim szczęściem jako jej potomka jest to, że potrafiłam szybko moją matkę odrzucić - przynajmniej na poziomie rozumu. Niestety, na poziomie emocji nadal byłam dzieckiem spragnionym miłości i akceptacji matki.

Rodzeństwo to same problemy

Po urodzeniu się mojego brata zrobiło się jeszcze gorzej. Kiedy w mojej rodzinie było już więcej niż jedno dziecko, to wtedy rodzice mogli, nieświadomie, przypisać nam dysfunkcyjne role z dysfunkcyjnej rodziny: ja zostałam kozłem ofiarnym, a mój brat złotym dzieckiem-maskotką - pupilem matki.

Moja matka od momentu narodzin mojego brata twierdziła o nim, że: “Zobaczycie - on będzie mądry i piękny! Nie to, co Ty, Werka!”

Ja - widząc zachowanie mojego rozpieszczonego brata, które nie zapowiadało niczego dobrego - doskonale zdawałam sobie sprawę z faktu, że moja matka kłamie.

Mój brat urodził się zdrowy - to też rzutowało na stosunek matki do nas. Matka mogła powiedzieć, że - w odróżnieniu ode mnie - mój brat nie jest wybrakowany. I miała twardo

logiczną rację. Z tym - jako osoba pasjonująca się przyrodą i jej surowymi zasadami - nie mogłam się kłócić.

Brat, według słów matki, przed pójściem do szkoły był wzorem cnót wszelakich. Jednak to szybko się skończyło, wraz z rozpoczęciem edukacji - nauczony tego, że przez matkę jest opisywany w superlatywach niezależnie od swojego rzeczywistego zachowania, nie potrafił sprostać rygorom szkolnej rzeczywistości.

I wtedy... Stało się coś, co mnie niezwykle dotkliwie zabolalo i na co nie znalazłam w sobie zgody i usprawiedliwienia - moi rodzice drastycznie zmienili swoje podejście wychowawcze i doszli do wniosku, że mój brat zasługuje na szczególnie dobre traktowanie nie dlatego, że nie sprawia problemów wychowawczych, ale właśnie dlatego, że sprawia problemy wychowawcze... Przy jednoczesnym trwaniu w starym stosunku do mnie!

Jako dziecko absolutnie nie potrafiłam zaakceptować tej hipokryzji i się na nią zgodzić - a jako osoba dorosła już wiem, że działał tutaj mechanizm nadawania określonych dysfunkcyjnych ról dysfunkcyjnej rodziny.

Relacja z ojcem

Mój ojciec natomiast od zawsze darzył mnie ciepłym uczuciem, starał się mnie wspierać tak, jak umiał - nie idealnie i nie bez poważnych - czasami nawet bardzo poważnych - potknięć, ale jednak zawsze.

Moim ogromnym dramatem jako dziecka był bezlitosny fakt, że w domu cały czas była surowa, zimna i odrzucająca matka - a mój ciepły, czuły i przystępny emocjonalnie ojciec głównie pracował jeżdżąc ciężarówką do kopalni węgla, co skutkowało tym, że czasami całymi tygodniami nie było go w domu. Zwykle widziałam ojca jedynie raz w tygodniu. Zanim poszłam do szkoły mylnie sądziłam nawet, że to coś normalnego i w każdej rodzinie tak jest, że dzieci wychowuje obecna w domu matka, a ojca nie ma w domu, bo z daleka zarabia na utrzymanie rodziny.

Jak ojciec zjeżdżał do domu na 2-3 dni, to było to wielkie święto - jeśli były wtedy wakacje, to ojciec zabierał mnie (z matką, jak i bez matki) do pobliskiego miasteczka na festyny i coroczne weekendowe przenośne parki rozrywki - oboje chodziliśmy na karuzele, szalone młyny i nasze ulubione - rolercostry. Ojciec kupował mi watę cukrową, którą zwykle, przy jedzeniu, obklejałam sobie całą twarz i część włosów. Przez całe życie na festynach proponował mi też, że kupi mi pajdę ze smalcem - rokrocznie zapominając, że nie jadłam smalcu w stanie stałym i rokrocznie dziwiąc się, że nie każdy jada pajdy ze smalcem. Z ojcem chodziłam też na grzyby - o dziwo jako dziecko byłam dobra w znajdowaniu grzybów, a wraz z wiekiem zdolność ta całkowicie mi zanikła.

Dwukrotnie - po moich ogromnych prośbach i błaganiach - ojciec zgodził się i zabrał mnie ze sobą, bez matki, w trasę ciężarówką! Jechaliśmy z domu na Śląsk, do kopalni węgla "Piast". To były dwie największe przygody mojego dzieciństwa! Dzięki temu, że ojciec zabrał mnie ze sobą, mogłam opuścić moją małą rodzinną wieś i poznać świat wielkich śląskich miast! Byłam z ojcem na kilku filmach rodzinnych w bardzo nowoczesnym na tamte czasy kinie, a także w przeogromnym hipermarkecie, w którym było wszystko - łakocie niespotykane w mojej okolicy, a także kasety VHS z filmami animowanymi, które tak bardzo pragnęłam mieć, a które ojciec mi kupował.

W czasie pierwszej trasy miałam 8 lat, a w czasie drugiej trasy - 9 lat.

Niestety, drugi raz, kiedy byłam w trasie z ojcem, ostatecznie - już po powrocie do domu - wyjazd skończył się dla mnie pobytem w szpitalu. Okazało się, że jedzenie kupowane w przydrożnych barach dla kierowców może wybitnie nie posłużyć 9-letniemu dziecku i w konsekwencji tego dziecko będzie wymiotować dalej niż widzi - aż się odwodni. Do dzisiaj jednak twierdzę, że ten niemal dwutygodniowy pobyt w szpitalu był naprawdę warty tego 3-dniowego wyjazdu z moim ojcem!

Ojciec zawsze kupował mi - a potem także i mojemu bratu - prezenty pod choinkę.

Naprawdę udane prezenty pod choinkę! Mając 11 lat dostałam od ojca prawdziwy mikroskop - to było naprawdę wspaniałe dostać coś takiego dla takiej przyrodniczki jak ja! Będąc

młodsza dostawałam od ojca uwielbiane przeze mnie zabawkowe samochody - szczególnie zapadł mi w pamięć bardzo elegancki model żółtego Lamborgini.

Ojciec, w odróżnieniu od mojej matki, potrafił się zreflektować, kiedy - pod wpływem silnych emocji, z którymi miał problem sobie radzić - mnie niesprawiedliwie uderzył. Wtedy przepraszał, a czasami także kupował mi kwiaty. Co prawda wiedziałam i czułam, że to nie jest wobec mnie w porządku - bo powinien po prostu mnie nie bić - ale to i tak było o wiele lepsze niż dysfunkcyjne mówienie mojej matki, że "zawsze jestem winna tego, że mnie uderzono". Tak było, kiedy chodziłam do podstawówki.

Lata mijaly i jednak sytuacja w tej kwestii uległa radykalnemu pogorszeniu. Pod koniec podstawówki ojciec zaczął o wiele częściej bywać w domu - ostatecznie na swoje miejsce zatrudnił kierowcę, a sam zajął się wszelkimi pracami w firmach swojej i matki. Matka zaczęła mieć większy wpływ na ojca. W gimnazjum ojciec zaczął bić mnie mocniej i częściej. A w liceum ojciec potrafił sprawić mi naprawdę solidny łomot. Niestety, bardzo często ojciec nie bił mnie sam z siebie, lecz był proszony o to przez moją matkę. Ale bolało tak samo... A ja miałam tego dość! Tak bardzo dość! Przy czym wiedziałam, że to mój ojciec jest bardziej skory do zmiany, a nie matka. I wiedziałam, że matka w głębi siebie jest bardziej przemocowa niż ojciec. Co więc zrobiłam, kiedy miałam już około 18 lat, a pewnego dnia ojciec sprzął mnie wyjątkowo mocno? Zgłosiłam to, że mnie bije dyrekcja mojej szkoły! Zgłosiłam przemoc ze strony ojca. Ale nie zgłosiłam przemocy ze strony matki... Bo wiedziałam, że z matką nie wygram. A wiedziałam, że mój ojciec w jakiś sposób mnie kocha, w jakiś sposób mu na mnie zależy. Zgłosiłam więc sprawę do dyrekcji... Dyrekcji też należy się reprimenda w tej sytuacji, bo wicedyrektorka szkoły nie chciała mi uwierzyć! W nosie mnie miała! Dopiero dyrektorka mi uwierzyła... One obie wezwały mojego ojca do szkoły. I zrobiły mu odpowiednią pogadankę. Postraszyły policją i prokuraturą. Odpowiedzialnością karną. Potem poprosiły o przyjscie psycholog, która wyjaśniła mojemu ojcu, dlaczego przemoc wpływa degenerująco na osobowość, wyniki szkolne i relacje społeczne. Do mojego ojca wtedy dotarło. Zrozumiał. Płakał na spotkaniu z psychologiem. Ja wszystko widziałam i słyszałam, bo uczestniczyłam we wszystkich tych rozmowach. Było to naprawdę na skraju mojej wytrzymałości psychicznej...

Po powrocie do domu ojciec przez około trzy dni prawie nie odzywał się do mnie i chodził mocno zamyślony.

Natomiast moja matka zrobiła coś potwornego i absolutnie okropnego. Coś, czego się po niej spodziewałam. Kiedy razem z ojcem wróciłam w dzień pogadanki z dyrekcją, to matka powitała nas w drzwiach i od progu wydarła się do mnie: "Ty się, kurwa, ciesz, że tam ojciec pojechał, a nie ja! Jakbyś to mnie podjechała, to bym tam pojechała, wyparła się wszystkiego i jeszcze powiedziałabym im, że to Ty mnie wyzywasz i bijesz! A w domu bym Ci wpięprzyła jeszcze mocniej niż zwykle - tak mocno, że by Ci nogi z dupy wypadły!!!"

Moja matka nawet nie ukrywała tego, że jest zakłamana, przemocowa i bezrefleksyjna. I z tego smutnego faktu zgłosiłam mojego ojca skorego do zmiany, a nie ją... Do dzisiaj dziwnie się z tym czuję.

Ostatecznie zakończyło się to tak, że mój ojciec faktycznie się zmienił. Przestał mnie bić. I jednocześnie zaczął mnie wspierać słowem i finansami - czyli tak, jak potrafił najbardziej. Wysłał mnie na prawo jazdy i je opłacił. Po tym, jak zdałam prawo jazdy za pierwszym razem, kupił mi dobry i ładny samochód. Potem opłacał koszty mojego utrzymania na Podkarpaciu w domu teściów, kiedy uczyłam się w dziennej szkole medycznej. I poratował mnie jeszcze wiele razy, kiedy miałam problemy z mężem i z zaplaceniem czynszu za wynajmowane mieszkanie. Utrzymywał mnie też w czasie, kiedy chodziłam na terapię na oddziale dziennym. Z czasem zrozumiał też, że do potomstwa należy odpowiednio się odzywać - motywująco i wspierająco, a nie musztrująco i karcąco. To też wiele poprawiło w naszej relacji. Kiedy jako nastolatka doznawałam przemocy ze strony ojca, to byłam głęboko przekonana, że nigdy mu tego nie wybaczę. Nie spodziewałam się, że mój ojciec będzie potrafił tak bardzo i szczerze się zmienić - ale zrobił to. Z czasem wybaczyłam mu - i

przyszło mi to bardzo naturalnie, tak "samo z siebie". Ostatecznie, w ciągu ostatnich trzech lat chętnie widuję i kontaktuję się z ojcem. Z matką nie - ona jest niereformowalna.

Relacja z bratem

Relacje pomiędzy mną a moim bratem nigdy nie były dobre. Wahały się pomiędzy neutralnymi od narodzin brata do około 2-3 roku jego życia, by przejść w niechęć, by kolejno w wieku szkolnym brata przejść w nienawiść. Kiedy zaś opuściłam mój dom rodzinny, a mój brat w nim pozostał, brat ponownie stał się dla mnie neutralny. Obecnie moje relacje z bratem są żadne. Mówimy sobie tylko "cześć" kilka razy do roku. To wszystko.

Babcia - kochająca łabędzica, która kołysała do snu

Szczególną osobą w moim życiu była moja babcia (matka mojej matki). Miała na imię Krystyna i była jak wyjęta z piosenki "Krystyna" Ralpa Kamińskiego:

"Tam mój port
I mieszka w nim Krystyna
Krystyna
Nie zgubię się
Dopóki jest Krystyna"

Moja babcia była moim portem, moją bezpieczną przystanią. Była jedyną osobą z mojego rodzinnego domu, która nigdy mnie nie uderzyła! Nie przetrwałabym bez niej. Babcia Krystyna była wobec mnie wyjątkowo czuła, troskliwa i oddana - kochała i akceptowała mnie taką, jaką jestem. Była dla mnie NIESAMOWICIE DOBRA. Moja babcia była prawdziwym, autentycznym opiekunem małej mnie. Nie potrafię znaleźć właściwych słów, by opisać ocean czułości, jaki dała mi moja babcia.

Od momentu, kiedy miałam 4-5 lat, spędzałam z babcią więcej czasu, niż z matką - co mnie uratowało, bo miałam możliwość rozwinąć się przy mojej babci jako pełnoprawna osoba, co przy mojej matce nie mogłoby mieć miejsca. Dopóki babcia żyła, słowa mojej matki nie niszczyły doszczętnie mojego ego. Dzięki babci przetrwałam odrzucenie przez matkę. Babcia rozumiała mnie, akceptowała i szanowała. Rozumiała, akceptowała i szanowała także moje pasje. A pasje do przyrody i do zwierząt gorąco podzielała. Gdy dziadkowie założyli na swoim telewizorze telewizję cyfrową, to moja babcia specjalnie dla mnie wykupiła dwa pakiety programów: pakiet programów przyrodniczych i dokumentalnych, a także pakiet z serialami i filmami science-fiction. Babcia science-fiction w ogóle nie oglądała - ale szanowała to, że ja to lubię i chcę oglądać.

Babcia nauczyła mnie szacunku i miłości do zwierząt, do natury i do drugiego człowieka. Była dla mnie zawsze cierpliwa, wyrozumiała i szczerą. Pokazywała mi, jak się robi na drutach i tłumaczyła zadania z matematyki. Specjalnie dla mnie co roku kupowała kilka małych gęsi - które potem oswajałam i wypasałam na łące za domem. Napełniała dla mnie porcelanowy dzban na słodycze tak, że nigdy nie widziałam w nim dna - a naprawdę często do niego sięgałam. Znała pacierz po łacinie i recytowała go, szyjąc na maszynie - ale sprzeciwiała się moim rodzicom, kiedy chcieli mnie karać za to, że nie chciałam chodzić do kościoła. Grała ze mną w szachy i przegrywała - częściej, niż świadczyły o niej jej możliwości.

Moja babcia dała mi prawdziwą miłość i tym samym sprawiła, że potrafiłam uwierzyć w siebie i w to, że sobie poradzę.

Babcia miała problemy ze zdrowiem - przez co prosiła mnie, bym pomagała jej w domowych porządkach. Jednak podejście mojej babci w kwestii mojej pomocy było bardzo zdrowe - nie parytyfikowała mnie, a jedynie prosiła mnie o to, co naprawdę byłam w stanie wykonać. Do tego mówiła, że jeśli w danym dniu nie mam na coś siły lub ochoty, to nie muszę tego robić -

z czego czasami korzystałam. Na ogół jednak pomagałam babci - wiedząc, że robię to dlatego, że chcę, a nie dlatego, że muszę. Jako dorosła mogę powiedzieć, że zachowanie mojej babci wobec mnie było adekwatne. Ze wszystkich osób z mojego dzieciństwa to właśnie moja babcia zachowywała się wobec mnie najbardziej adekwatnie.

Utrata babci

Niestety, kiedy miałam trzynaście lat, moja babcia umarła - dość szybko i bardzo niespodziewanie. Była to dla mnie ogromna tragedia: z mojego życia zniknęła jedyna osoba, od której nigdy nie zaznałam przemocy i ze strony której naprawdę czułam, że kocha mnie bezwarunkowo - taką, jaką jestem. Stratę babci przeżyłam w dość dziwny i "nieprawidłowy" - jak mi się wtedy wydawało - sposób: przez rok po jej śmierci czułam się jak pozbawiona emocji. Miałam problem z odczuwaniem i szczęścia i smutku z czegokolwiek. Wtedy wydawało mi się, że jako człowiek jestem w jakiś sposób wybrakowana - i dlatego nie odczuwam żadnej wielkiej rozpaczy, smutku, czy żalu z powodu straty babci, a jedynie coś w rodzaju nostalgii. Wraz z dorosłością i poznaniem psychologii przyszło zrozumienie: utrata babci była dla mnie tak wielką stratą, że mój umysł odciął się na poziomie emocjonalnym od tego doświadczenia, by nie popaść w destrukcyjnie głęboką rozpacz i nie zwariować. Teraz wiem, że śmierć babci była dla mnie końcem dzieciństwa - potem nastąpiły lata wypełnione przemocą i cierpieniem, poczuciem absolutnego braku zrozumienia i akceptacji ze strony najbliższych.

Dziadek

Mój dziadek (mąż zmarłej babci) od zawsze pali jak smok. Od zawsze też lubi napić się wódki. Jako, że do czasu śmierci babci spędzałam dużo czasu u dziadków - to zadywiony pokój z flaszką wódki na stole kojarzy mi się ze swojską, domową atmosferą. Mój dziadek nie za bardzo zna się na relacjach międzyludzkich. Jednak od zawsze stara się mnie wspierać, jak potrafi. Mój dziadek i babcia nigdy nie dyskryminowali mnie ze względu na moją płć - co zdarzało się reszcie rodziny. Moja relacja z dziadkiem stała się naprawdę dobra, kiedy dorosłam - z prostej przyczyny: mój dziadek nie umie zajmować się dziećmi. Nie bardzo wie, jakby się mógł nimi zajmować. Pamiętam, że pierwszy raz smak wódki poznałam mając 4-5 lat - mój dziadek mnie nią poczęstował! Nie pomyślał o tym, że dzieci nie powinny znać smaku alkoholu. [Lygrys zaśmiała się.] Przynajmniej dzięki temu, że jako małe dziecko znałam smak alkoholu jako czegoś normalnego, to jako nastolatka w ogóle mnie nie ciągnęło do jawnego czy skrytego picia wódki - bo przecież jej smak znałam już jako dziecko.

Mój dziadek jest raczej małowówny. I potrafi być dość oceniający dla innych ludzi. Ale nie dla mnie. Mnie kocha i akceptuje taką, jaką jestem.

Mój dziadek po śmierci babci bardzo się załamał. Nie potrafił dać mi wsparcia w tamtej sytuacji, bo sam go bardzo potrzebował. Jak trochę się otrząsnął, to ponownie się ożenił - był już wtedy po 60-ce. Niestety, bardzo źle trafił. W końcu rozwiódł się - miał wtedy równe 70 lat. Teraz ma nową partnerkę, z którą żyje w związku nieformalnym - i nareszcie znowu jest szczęśliwy! A ja jestem szczęśliwa jego szczęściem! Cieszę się, że mój dziadek ułożył sobie życie na nowo - pokazał mi tym, że nigdy nie jest za późno. [Lygrys uśmiechnęła się pogodnie.]

Pierwsze wspomnienie

Moim pierwszym wspomnieniem jest przepiękny widok ukwieconego ogrodu, w którym niespełna 3-letnia ja jestem z moją ukochaną babcią (matką mojej matki). Jest to wiejski ogród znajdujący się za budynkiem kuźni, w moim rodzinnym domu. W ogrodzie rośnie piękna, bardzo okazała czereśnia, której wysoka na kilkanaście metrów sylwetka tonie w dziesiątkach tysięcy kwiatów, łąka jest pełna kwitnących mleczy, a wszędzie wokół unosi się bzyczenie zapylających owadów. Ja chodzę po łące, zrywam kwiaty mleczy razem z

lodygami i zanoszę je mojej babci, która cierpliwie wyplata z nich wianki i kwieciste sznury. Jak wyplatanie się kończy, babcia wystraja mnie w wianek na głowę i kwiatowy sznur na szyję, który małej mnie sięga do pasa, a ja - ukwiecona, szczęśliwa i radosna - biegam po całej łące. Potem wracam do babci i ją mocno przytulam. To dla mnie niezwykle wspomnienie - nie tylko dlatego, że jest pierwsze, ale również dlatego, że ani tej czereśni ani tej łąki nie ma już od 20 lat, a od 14 lat nie ma też mojej ukochanej babci.

Zabawa w Bestię

Moją ulubioną zabawą zespołową z dzieciństwa była "Zabawa w Bestię". Bawiłam się w nią z moimi męskimi rówieśnikami w czasie, kiedy miałam 7-9 lat. Bawiliśmy się w nią w czasie przerw międzylekcyjnych i po skończeniu lekcji, na terenie szkoły - głównie na wiecznie niewykoszonym kawałku zieleni obok boiska szkolnego. Zabawa ta polegała na tym, że ja - jako najwyższa osoba w całej klasie - odgrywałam rolę Bestii: miałam za zadanie gonić i złapać moich, niższych ode mnie, rówieśników z klasy. Pamiętam, jak wiele radości i wprost dzikiej ekscytacji dostarczało mi tropienie, gonienie i łapanie moich kolegów w wysokiej trawie. Gęsta trawa nie raz była wyższa od nas, trzeba było się przez nią przedzierać - i jako uciekający, jak i goniący. Część uciekających starała się trzymać na uboczu lub pozostać w ukryciu, ale były też osoby, które - zniecierpliwione i spragnione ucieczki - wprost zdradzały swoje położenie, czasem nawet zaczepiały mnie i mówiły: "Goń mnie!". A ja goniłam ich - dziko i szaleńczo mknąc przez trawiastą gęstwinę, jakby od ich złapania zależało moje życie! Naprawdę, zabawa ta dostarczała mi dzikiej, pierwotnej, wręcz nieokielznanej radości i satysfakcji ze spełniania archetypu drapieżcy. Tłumaczyłam to sobie, że moi przodkowie musieli być łowcami - dlatego nieustanne wcielanie się w rolę goniącego, a nie uciekającego, było dla mnie takie satysfakcjonujące i - mimo powtarzalności - ani trochę mnie nie nudziło!

Najlepsza przyjaciółka dzieciństwa i nastoletniości - Agnieszka

Miałam wtedy sześć lat i chodziłam do zerówki, w małej szkole na wsi. Pani nauczycielka rozsadzała po dwoje dzieci do jednej ławki. Ja zostałam posadzona do jednej ławki razem z dziewczynką o imieniu Agnieszka. Pamiętam, jak Agnieszka dokuczyła mi w ten sposób, że powiedziała, że dzieli naszą ławkę na dwie równe części - po jednej dla każdej z nas - ale linia, którą nakreśliła ołówkiem, wyznaczała około $\frac{2}{3}$ ławki dla niej i jedynie $\frac{1}{3}$ ławki dla mnie! Nie spodobała mi się ta nierówność i ewidentne kłamstwo. Pokłóciłyśmy się. Ostatecznie rozdzielono nas do innych ławek...

Nie pamiętam już w jaki sposób, ale w czwartej klasie szkoły podstawowej ja i Agnieszka... zostaliśmy najlepszymi przyjaciółkami! I jest to przyjaźń na całe życie!

Ja i Agnieszka od tamtej pory stałyśmy się nierozłączne. W szkole chodziłyśmy wszędzie we dwie, przez całą naszą wspólną edukację - a trwała ona aż do końca liceum. Bardzo pilnowałyśmy, abyśmy zawsze siedziały w tej samej ławce. A Agnieszka już nigdy więcej nie zajęła większości ławki. Na moje pytanie na koniec szkoły podstawowej: "Jakie gimnazjum wybierasz?", Agnieszka jedynie odpowiedziała: "Wybieram te gimnazjum, które Ty wybierzesz!". Potem identyczna sytuacja powtórzyła się z wyborem liceum.

Agnieszka pierwsza dowiadywała się o obiektach mojego zakochania i wysłuchiwała moich zachwytych na ich temat. Była też dla mnie pewnego rodzaju przewodniczką po świecie relacji międzyludzkich - wyjaśniała mi, co wolno, a czego nie wolno robić w danej sytuacji społecznej. Na największą uwagę zasługuje fakt, jak lojalną, wytrwałą i wyrozumiałą przyjaciółką dla mnie była Agnieszka - w końcu gafy społeczne popełniałam wobec każdego, także wobec niej! Ona cierpliwie wyjaśniała mi, co robię nieprawidłowo i nie obrażała się. Agnieszka kojarzy mi się ze wspólnymi wypadami nad Wisłę - po to, by gołymi stopami brodzić w płytkim, piaszczystym paśmie rzeki tuż przy linii brzegowej. I z wielogodzinnymi rozmowami o relacjach międzyludzkich. I z widokiem Agnieszki, kiedy będąc jeszcze uczennicą szkoły podstawowej, sumiennie opiekowała się dziećmi swojego brata.

Bardzo cenię Agnieszkę za jej samodzielność, praktyczność i ogromną zaradność w radzeniu sobie w życiu.

Obecnie Agnieszka pracuje w przedszkolu i widać, że to jej powołanie.

Przyjaciółka Martyna

W pierwszej klasie liceum moja klasa nie składała się już z samych ludzi z okolicy, a pojawiły się nowe osoby - z nieco dalszych stron. W ten sposób poznałam Martynę - równie wysoką jak ja, uzdolnioną językowo dziewczynę zafascynowaną kulturą i społeczeństwem Indii. Już nie pamiętam w jaki sposób, ale w ciągu kilku pierwszych dni po rozpoczęciu roku szkolnego Martyna dołączyła do mnie i Agnieszki - od tamtej pory już nie byliśmy parą przyjaciółek, a paczką!

Martyna była cicha i skromna, chociaż nie nieśmiała. Lubiła żartować - i to nawet dość rubasznie. Była fenomenalna z języka angielskiego i zdała z niego maturę w zakresie rozszerzonym, ze znakomitym wynikiem.

Pamiętam, jak Martyna pół w żartach, pół serio powiedziała do mnie: "Werka, Ty chyba masz autyzm!", po czym mrugnęła do mnie, uśmiechnęła się i dodała: "Poczytaj kryteria diagnostyczne." Ja wtedy jednak uznałam to za żart, a formę tego żart uznawałam za żart w żarcie.

Martyna wtedy miała rację - mając 24 lata dowiedziałam się, że mam Zespół Aspergera - mam autyzm!

Martyna ukończyła studia z pedagogiki specjalnej i obecnie już od kilku lat pracuje w specjalnym punkcie przedszkolnym dla dzieci niepełnosprawnych - w tym autystycznych. Po prostu: właściwy człowiek na właściwym miejscu!

Przyjaciółka Aśka

Po około dwóch tygodniach od rozpoczęcia pierwszej klasy, jak już Martyna była w naszej paczce, do klasy dołączyła inna dziewczyna - Joanna (w skrócie: Asia lub Aśka), która przeniosła się z innej szkoły.

Doskonale pamiętam chwilę, kiedy szkolna wychowawczyni poinformowała nas o nowej koleżance i zaprosiła Asię do klasy - Asia weszła i stanęła na środku, pod tablicą, a wychowawczyni krótko o niej opowiedziała. Ze wstydem przypominam sobie, co wtedy pomyślałam o Asi, a pomyślałam mniej więcej tak: "Co to za wyrzutek z innej szkoły?! I to w dodatku przychodzi po czasie! Ciekawe, ile ona się tutaj utrzyma? Pewnie znowu zaraz wyleci i zmieni szkołę! I niby kto by ją tutaj lubił?!"

Po miesiącu od dołączenia Asi do naszej klasy, można było ujrzeć taką poranną scenkę: Pewna osoba witała Asię tuż przy bramie wejściowej do szkoły, przytulając ją mocno do siebie i mówiąc: "Kocham Cię, Asiu! Jesteś super!" - tą osobą byłam JA!

Dałam się pochłonać błyskowi w jej pięknych, błękitnych oczach, otulającym owalną twarz kosmykom w kolorze jasny blond i pięknemu, szczeremu uśmiechowi, który nawet umarłemu dałby nadzieję na życie... Ale jednak przede wszystkim pokochałam Asię za jej autentyczny, szczery, bez troski i dobry charakter! Asia kocha ludzi i świat. Jest człowiekiem, którego chciałoby się mieć ciągle przy sobie. I chciałoby się, by na świecie było o wiele więcej takich ludzi.

Aśka kojarzy mi się z jej perlistym śmiechem, całymi godzinami wygłupów i opowiadania sobie żartów, a także ze słodkimi wypiekami produkcji jej mamy.

Mama Asi zajmuje się pieczeniem domowych ciast, ciasteczek i innych słodkości. Wiele razy Asia dostawała jako prowiant do szkoły słodkie wypieki od swojej mamy - którymi częstowała mnie, Agnieszkę i Martynę. Bardzo dobrze zapadła mi w pamięć taka scena: ja, Agnieszka, Aśka i Martyna całą paczką poszliśmy za budynek szkoły. Aśka powiedziała: "Dzisiaj moja mama dała mi pączki, dużo pączków! A dwa specjalnie dla Ciebie, Werka! My obie z mamą doskonale wiemy, jak bardzo uwielbiasz pączki i wszystko, co słodkie!" Wzięłam pączki od Asi i zjadłam ze smakiem - były naprawdę wyborne! Z moją ulubioną konfiturą różaną! I było po mnie widać, że te pączki były naprawdę dobre... Kiedy

wracałyśmy na lekcje, na szkolnym korytarzu zaczęła nas nasza nauczycielka geografii, mówiąc: "Byłyście za szkołą - tam, gdzie palą papierosy! Ale Werka papierosów nie pali, tylko obżera się słodkim! Tym razem ciasto, czy pączek? Pytam, Werka, czy to na Twoim nosie to krem z ciasta, czy lukier z pączka?", na co odpowiedziałam dumnie: "Lukier!", z umazanym od lukru czubkiem nosa.

Doskonale pamiętam też, jak wiele razy powtarzałam Asi: "Gdybym była mężczyzną, to chciałabym Cię za moją żonę!" - co było absolutną prawdą!

Raz pojechałam wspólnie z Asią na całodniową wycieczkę szkolną do Kielc - Asia nie miała wtedy pieniędzy, więc to ja zapłaciłam za jej wycieczkę. Poprosiłam ją wtedy o to, by w zamian za to udawała w czasie wycieczki, że jest moim chłopakiem - zgodziła się i to było świetne i przeżabawne doświadczenie!

Asia kojarzy mi się z dobrocią, szczerością, prostolinijnością, ogromnym poczuciem humoru i ciepłem rodzinnym.

Asia obecnie ma męża i ślicznego czteroletniego synka.

"Kiblowe Dziewczyny"

Niedługo po tym, jak do mnie, Agnieszki i Martynty dołączyła Aśka, naszą paczkę przyjaciół nazwałyśmy "Kiblowe Dziewczyny" - z racji tego, że czas przerw spędzałyśmy głównie na korytarzu damskiej ubikacji, gdzie rozmawiałyśmy o wszystkim, uczyłyśmy się i jadłyśmy drugie śniadanie.

Nasza paczka przez cały okres liceum była nierozłączna. Cały czas w szkole spędzałyśmy razem - przerwy w ubikacji albo na korytarzu, natomiast na lekcjach także siedziałyśmy obok siebie - ja siedziałam w jednej ławce z Agnieszką, natomiast w ławce przed nami lub za nami siedziała Aśka z Martyną. Każda dziewczyna z naszej paczki zapraszała resztę na swoje urodziny - przy czym najlepsze były urodziny u Aśki, bo ta ma starszego brata i bardzo miłą, życzliwą i przyjazną rodzinę, która zawsze dawała Asi sporo swobody. Pomagałyśmy sobie w lekcjach, jak tylko potrafiłyśmy. Doradzałyśmy sobie nawzajem w sprawie relacji damsko-męskich. Słowem: byłyśmy świetną paczką przyjaciół i nader mocno cieszę się, że miałam szczęście spotkać na swojej drodze tak dobrych ludzi. Przyjaźń to jedna z najlepszych rzeczy, jakie można doświadczyć w życiu!

Rozrywki czasu wolnego

Moje rozrywki i sposoby spędzania czasu wolnego w młodości były różne - w zależności od tego, na jaki okres przypadają:

Jako dziecko pasjonowałam się przyrodą i zwierzętami. Trudno było mnie zagonić do domu - ciągle pałętałam się albo po podwórku albo po ogrodzie. Na podwórku bawiłam się z psami rodziców i dziadków. Urodziłam się psiarą, a nie kociarą. Dopiero potem mi się odmieniło. Poza tym byłam też baczny obserwatorem życia ptactwa przydomowego - kur, kaczek i gęsi. A jak już byłam w domu, to oglądałam filmy przyrodnicze i dokumentalne. I czytałam encyklopedie przyrodnicze. Jak już byłam w starszych klasach podstawówki, to wtedy u dziadków miałam dostęp do nieogólnodostępnych kanałów telewizyjnych - miałam trzy ulubione kanały: przyrodniczy, z serialami science-fiction i kryminalny.

W wieku gimnazjalnym uwielbiałam spędzać czas samemu - spędzałam go głównie na czytaniu książek, oglądaniu seriali i słuchaniu muzyki. Całymi wieczorami zaczytywałam się w literaturze science-fiction i fantasy. Przeczytałam wtedy: "Opowieści o pilocie Pirxie", "Cyberiade", "Dzienniki gwiazdowe", "Ze wspomnień Ijona Tichego" Stanisława Lema, "Pozytonowy detektyw", "Nagie słońce" i "Roboty z planety świtu" Isaaca Asimova, "Władcę Pierścieni" J. R. R. Tolkiena, "Ostatniego Powiernika Pierścienia" Kiriya Jeskova, sagę "Wiedźmin" Andrzeja Sapkowskiego i wiele podobnych pozycji. Z seriali nałogowo oglądałam głównie dwa serie science-fiction: "Star Trek: The Original Series" i "Gwiezdne Wrota: Atlantyda".

W tamtym czasie także czytałam i pisałam poezję.

W liceum czytałam i pisałam najwięcej poezji, jednocześnie mniej czasu przeznaczając na czytanie prozy. W tamtym okresie prawie nie oglądałam seriali. Za to o wiele więcej czasu zajmowała mi interakcja z ludźmi - z moją paczką przyjaciółek i z moim byłym mężem Przemkiem (wtedy moim chłopakiem). Pod koniec liceum jeździłam do Przemka na weekendy, ferie i dłuższe wypady w czasie wakacji.

W czasie mojej nauki w policealnej szkole medycznej - tuż przed i tuż po tym, kiedy zostałam mężatką - razem z Przemkiem, wieczorami, oglądaliśmy ogromne ilości seriali science-fiction. Były to: niemal wszystkie serie "Star Treka", wszystkie serie "Gwiezdných Wrót", "Babylon 5", "Farscape", "Firefly", nowe serie "Doctora Who" i jeszcze inne seriale, których tytułów już nie pamiętam.

W tamtym czasie wręcz nałogowo grałam w przeglądarkową grę internetową, osadzoną w postapokaliptycznym świecie dark fantasy z wampirami - "BloodWars". Jednocześnie wtedy zaprzestałam czytania książek. Przestałam też pisać wiersze, pomimo moich usilnych prób - z powodu braku weny twórczej.

Zabawne wspomnienie

Mam bardzo zabawne wspomnienie śmieszno-strasznej sytuacji, wynikłej z mojej autystycznej dosłowności - z czasu, kiedy jeszcze nie byłam świadoma swojego autyzmu. Pewnego dnia, kiedy miałam 23 lata i byłam mężatką, w czasie spotkania rodzinnego moja szwagierka powiedziała do mnie: "Teraz jesteś już pełnoprawnym członkiem naszej rodziny. Możesz wpadać do mnie o każdej porze, kiedy chcesz!", na co ja odpowiedziałam: "Ty też możesz wpadać do mnie o każdej porze, kiedy chcesz!". I faktycznie miałam na myśli to, że byłam gotowa przyjąć u mnie moją szwagierkę o każdej porze dnia i nocy - nawet np. o godzinie drugiej w nocy i to bez wcześniejszego informowania mnie o tym. Nie pomyślałam o tym, że interpretacja własnej deklaracji mojej szwagierki może nie być aż tak dosłowna... Jakiś czas potem, w któryś czwartek, wracałam z odbywania szkolnych praktyk w aptecę w Krośnie i pomyślałam, że po drodze zajadę do mojej szwagierki i ją odwiedzę. W tamten dzień miałam praktyki na drugą zmianę, więc jak zajechałam do szwagierki, to było około godziny 20-tej - a była to późna jesień, więc o tej godzinie było już ciemno. Brama wejściowa na posesję domu szwagierki była zamknięta na kłódkę, ale spojrzałam w okna i zobaczyłam światło w salonie - czyli znak, że szwagierka jest w domu i nie śpi. Zadzwoiłam do szwagierki - ale nie odebrała. Przypomniałam sobie o deklaracji, którą powiedziała mi szwagierka - pomyślałam wtedy: "Skoro mogę wpadać do niej kiedy chcę, to po prostu do niej wejdę!" Jak pomyślałam, tak też zrobiłam! Pomimo tego, że cała posesja szwagierki była ogrodzona wysokim metalowym płotem, to nie zraziłam się - znalazłam miejsce w ogrodzeniu, gdzie betonowy słupek ogrodzenia był w bliskiej odległości od wysokiego elementu na sąsiadującej posesji (już nie pamiętam, co to było), po czym wspierałam się i przeskoczyłam przez ogrodzenie! Zaraz byłam przy drzwiach wejściowych do domu szwagierki i kilkakrotnie zadzwoniłam dzwonkiem. Nikt nie otworzył. Poczekalam chwilę, zastukałam do drzwi i ponownie zadzwoniłam dzwonkiem. Dopiero po kilku minutach czekania drzwi się otworzyły i ujrzałam w nich szwagierkę - w piżamie i z bardzo przerażonym wyrazem twarzy. Szwagierka odezwała się, rozemocjonowanym tonem: "Werka, to Ty?! Matko Boska, co Ty tutaj robisz o tej porze?! Ja siedzę z córą i już szykowałyśmy się do spania, kiedy patrzę na podwórko - a tu jakaś ciemna sylwetka przeskakuje nam przez ogrodzenie! Już myślałam, że to jakiś złodziej! A zaraz słyszę dzwonek do drzwi! O tej porze! Myślałam, że na zawał padnę! Wiesz, jak Ty mnie przestraszyłaś?!"

Wyjaśniłam szwagierce powód mojego przyścia - po czym szwagierka wyjaśniła mi, że nie wszystkie deklaracje należy rozumieć dosłownie. Ale końcem końców z tej sytuacji jeszcze długo ja, mój były mąż i moi teściowie śmialiśmy się - i z mojej dosłowności i ze strachu mojej szwagierki. A ja od tamtej pory już nie robię niezapowiedzianych wizyt po zmroku.

Dziecięce marzenia

Jako dziecko, do końca podstawówki obejrzałam całe setki filmów i seriali przyrodniczych i dokumentalnych, o różnej tematyce - ale głównie o zwierzętach. Moją szczególną uwagę przykuły dwa z nich: w jednym młoda dziewczyna, będąca herpetologiem - czyli znawcą gadów - w lasach amerykańskiej południowej łapała węże do badań. W drugim grupa naukowców na łodzi przemierzała morza i oceany po to, by badać wieloryby.

Jako dziewczynka marzyłam o tym, by jako dorosła kobieta zostać herpetologiem albo badaczką wielorybów. Wiedziałam jednak, że te marzenie jest niezwykle trudne do zrealizowania - by zostać prawdziwym badaczem takich zwierząt, należałoby biegle znać język angielski, ukończyć odpowiednie studia, a także być dobrym w komunikacji interpersonalnej - w końcu bycie badaczem to także współpraca z innymi ludźmi.

Po tych śmiałych marzeniach zawsze przychodziła chwila surowej autorefleksji...

Dla mnie nauka języka obcego jest ciężką pracą nieprzynoszącą satysfakcjonujących efektów. Z nauk przyrodniczych zawsze byłam dobrym uczniem - ale nauka w szkole powszechnej to jednak nie to samo, co nauka na uczelni wyższej. A jako dziecko z komunikacji interpersonalnej byłam po prostu kiepska.

To wszystko razem sprawiało, że byłam sceptyczna co do realizacji moich marzeń na temat bycia badaczką.

Natomiast tym, co o sobie wiedziałam było to, że zawsze chcę mieć kontakt ze zwierzętami - a wiedziałam, że posiadam cierpliwość i empatię wobec zwierząt. Jako dziecko marzyłam więc o tym, że jako osoba dorosła mam zwierzęta, z którymi mieszkam pod jednym dachem. Rybki - myślałam jako dziecko - jak dorosnę, chcę mieć rybki w akwarium. Brzanki, kiryski i zbrojniki - ogromnie mi się podobają (i pod względem wizualnym, jak i behawioralnym) i nie są trudne w utrzymaniu, więc może dam sobie z nimi radę.

Za kotami jako dziecko raczej nie przepadałam i nie wyobrażałam sobie mieć kota na własność. Czułam niechęć na myśl o futrze walającym się wszędzie we wnętrzu domu/mieszkania i czułam odrazę na myśl o sprzątaniu kuwety. Poza tym jako dziecko nie miałam prawdziwego kontaktu z kotami - przez co nie rozumiałam tych zwierząt i nie znałam ich behawioru.

Psy, jako dziecko, niesamowicie uwielbiałam - natomiast wydawały mi się być zbyt wielką odpowiedzialnością, bym sama chciała zostać właścicielką psa.

Marzenia nastolatki

Jako nastolatka zmieniałam swoje marzenia.

Jako uczennica gimnazjum, w wieku 14 lat, odkryłam poezję! Nie tylko jako czytelniczka, ale także jako twórca! Zaczęłam od pisania wierszy rymowanych, szybko jednak porzuciłam je na rzecz poezji białej, bez rymów. Biała forma wierszy dawała mi swobodę i lekkość w wyrażaniu swoich poetyckich myśli.

Jeszcze w gimnazjum zapragnęłam stać się prawdziwą poetką, której twórczość ukazywałaby się drukiem w formie tomików poetyckich.

Wkrótce potem, jeszcze w gimnazjum, napisałam swój pierwszy, dość nieudolny tomik wierszy (wszystkie to były wiersze rymowane), który następnie spróbowałam wydać w odpłatnym wydawnictwie. Mój ojciec opłacił mi wadium do wydawnictwa za wydanie tomiku. Wydawnictwo okazało się jednak oszustem, a tomik nigdy się nie ukazał. Teraz się z tego cieszę - to były naprawdę nieudane wiersze, których teraz bardzo bym się wstydziła. Szkoda mi tylko tych zmarnowanych pieniędzy mojego ojca.

Nie poddałam się, zmieniałam styl pisania z rymowanego na biały i w tym stylu odnalazłam się znacznie lepiej! W ostatniej klasie liceum zdobyłam wyróżnienie w powiatowym XV Turnieju Jednego Wiersza o Laur Jesieni - organizowanym przez Staszowski Ośrodek Kultury, a także zajęłam drugie miejsce w szkolnym konkursie literackim "Młode Talenty" - organizowanym przez liceum, w którym się uczyłam.

Moją małą, poetycką tajemnicą - o której wie niewielu z moich znajomych - jest fakt, że jeden z moich wierszy (i to ten rymowany!) ukazał się drukiem, jak jeszcze byłam uczennicą gimnazjum. Moja wirtualna przyjaciółka Luiza poprosiła mnie o napisanie wzruszającego wiersza o duszy na motto jej powieści science-fiction, o tytule "Dusza". Ja napisałam wiersz, a moja przyjaciółka wzięła go na motto książki - i powieść mojej przyjaciółki wraz z moim wierszem ukazały się drukiem: najpierw w języku polskim, a po kilku latach od polskiego wydania - także w języku angielskim!

Gdzieś od okresu gimnazjum bardzo wyraźnie wzrosło we mnie jeszcze jedno, szczególne marzenie: znaleźć "swoich". Znaleźć ludzi, którzy byliby mentalnie tacy, jak ja mentalnie jestem - i którzy dzięki temu podobieństwu szczerze i prawdziwie zrozumieliby mnie i autentycznie zaakceptowali.

Jedyny pomysł, jaki miałam na zwiększenie prawdopodobieństwa tego, że w końcu natrafie na kogoś takiego jak ja, było podróżowanie po świecie - oczywiście jako plan na dorosłość, bo jako nastolatka czułam się zbyt niepewnie w świecie na samodzielne podróże.

"Nauczycielki życia" - teściowa i szwagierka

Miałam dwie "nauczycielki życia" pod sam koniec mojego wieku młodzieńczego - były to moja teściowa i moja szwagierka.

Kiedy miałam 21 lat, przeprowadziłam się z mojego domu rodzinnego do domu rodzinnego mojego byłego męża Przemka, który wtedy był moim narzeczoną. W momencie przeprowadzki byłam niepewną siebie, niezaradną, nieobytą z ludźmi i nieumiejącą poruszać się w świecie autystką, która nawet nie była świadoma faktu, że jest autystką - a zamiast tego myślałam o sobie, że jestem po prostu dziwna i nienormalna.

Mój były mąż także był dziwny, dość specyficzny, niezaradny i nieobyty z ludźmi. Natomiast dynamika w związku moich teściów była taka, że teść także był specyficzny, niezaradny i nieobyty z ludźmi, natomiast moja teściowa była bardzo pewna siebie, bardzo zaradna, obyta z ludźmi, potrafiąca poruszać się w świecie biurokracji i zasad społecznych.

Szwagierka zaś była z cech charakteru niemal identyczna jak teściowa.

Teściowa dobrze zdawała sobie sprawę z faktu, jaki z charakteru i zachowania jest jej syn Przemek - który pomimo tego, że jest o 7 lat starszy ode mnie, a teściowa zawsze o niego bardzo dbała, to miał nieprzemijające problemy z samym sobą i z relacjami społecznymi.

Poza tym teściowa wychodziła z założenia, że to kobieta w związku jest od załatwiania biurokracji, spraw trudnych i spraw wymagających relacji interpersonalnych.

Teściowa i szwagierka - widząc brak oznak samorozwoju u Przemka, a jednocześnie dostrzegając to, że mi w tamtym czasie naprawdę bardzo mocno zależało na związku i na akceptacji w tej rodzinie - wspólnie postanowiły, że "wyprowadzą mnie na ludzi" i wdrożyły w życie plan działania uspołecznienia i usamodzielnienia mnie. Oczywiście, miały w tym swój interes - chciały odciążyć same siebie z wyręczania Przemka z zadań dorosłego życia, a obciążyć nimi mnie.

W celu uspołeczniania mnie, moja teściowa zabierała mnie ze sobą, gdzie tylko mogła: od sklepu - gdzie uczyła mnie robić tanie i zdrowe zakupy, wystarczające na długi czas; po urzędy - by pokazać mi, gdzie i w jaki sposób załatwiać różnego rodzaju papierologię. Mój pierwszy PIT, jaki wypełniłam w swoim życiu, był PIT-tem dla Przemka, który wypełniłam pod czujnym okiem mojej teściowej. Kilka dni po ślubie teściowa zameldowała mnie w swoim domu (czyli w rodzinnym domu Przemka) - do Urzędu Gminy zabrała mnie ze sobą, wspólnie wypełniłyśmy potrzebne dokumenty, a następnie razem zaniósłszy je do odpowiedniej urzędniczki. Od tamtej pory sama załatwiam sobie meldunki czasowe po przeprowadzkach, natomiast meldunek stały, pomimo rozwodu, mam niezmiennie w domu teściowej - na razie nie znalazłam kolejnego miejsca, w którym mogłabym go mieć.

Mój pierwszy mechanik samochodowy, do którego sama odstawiłam mój samochód, był mechanikiem z polecenia teściowej - i faktycznie świetnie się sprawdzał. A za sugestią teściowej, ja świetnie sprawdzałam kompetencje i uczciwość mechanika.

Teściowa ze szwagierką także uczyły mnie dbać o dom - gotować tradycyjne polskie potrawy, piec i dbać o rośliny w ogrodzie. Sprzątać i prac w sposób bardzo dobry nauczyłam się jeszcze w domu rodzinnym - moja matka od zawsze twierdziła, że głównie do tego się nadaję, dlatego ciągle goniła mnie do robienia porządków. I faktycznie, sprzątanie i pranie szło mi znacznie lepiej niż mojej teściowej - dlatego ta szybko oddelegowała mnie także do tych czynności.

W rodzinnym domu mojego byłego męża panował tzw. "tradycyjny podział ról" - dlatego sprzątały, prały i gotowały w nim jedynie kobiety. Mój były mąż był wyjątkiem, jeśli chodzi o gotowanie - uwielbia on gotować, dlatego mimo bycia mężczyzną gotował on znacznie więcej ode mnie. Ja sama gotowałam głównie proste rzeczy, np. wszelkie potrawy z ziemniaków, a także przyrządzałam różnego rodzaju kotlety mięsne pod okiem teściowej. Ale nie lubiłam gotować i unikałam wykonywania tej czynności. Za to wręcz uwielbiałam piec! Piekłam proste rzeczy, ale często - głównie muffinki, babki z formy, kruche ciastka i biszkopty. Wraz z teściową robiłam drożdżowe rogaliki nadziewane konfiturą - teściowa przygotowywała ciasto, a potem we dwie formowałyśmy ogromne ilości rogalików.

Teściowa ze szwagierką bardzo starały się też, bym nauczyła się odpowiednio pielęgnować rodzinne relacje - zwracały mi uwagę, bym pamiętała o urodzinach, imieninach i rocznicach przypadających w ich rodzinie. Z radością poznawałam wujków, ciocie i kuzynostwo mojego byłego męża i chodziłam na wszelkiego rodzaju spotkania rodzinne.

Uważam, że moja teściowa i szwagierka w zamierzeniu usamodzielniania mnie kierowały się po części świadomym wyborem, a po części realizacją wobec mnie skryptu roli "dziecka-bohatera" z dysfunkcyjnej rodziny. Wcześniej rolę "dziecka-bohatera" w rodzinie Przemka pełniła moja szwagierka, która była swoistym substytutem rodziców dla swoich własnych rodziców - ale odkąd wyszła za mąż i wyprowadziła się, to rola ta pozostawała "nieobsadzona". Kiedy ja dołączyłam do tej rodziny, to nadarzyła się świetna okazja, by tę dysfunkcyjną rolę ponownie "obsadzić".

Ja natomiast w tamtym czasie bardzo cieszyłam się z "awansu społecznego", jakim było moje przejście z roli "dziecka-kozła ofiarnego" z mojego domu rodzinnego do roli "dziecka-bohatera" w domu rodzinnym Przemka. Cieszyłam się wtedy dlatego, że miałam poczucie, że nareszcie ktoś dostrzega moją pracowitość, moją chęć niesienia pomocy innym i moją siłę sprawczą, a do tego ufa mi na tyle, by powierzać mi tak wiele zadań do wykonania. Nie potrafiłam wtedy dostrzec dysfunkcji, sztywnych ograniczeń i wad tej roli.

Była też inna, bardzo ważna rzecz, która sprawiała, że byłam taka posłuszna woli teściowej: bardzo, ale bardzo pragnęłam, by rodzice Przemka stali się dla mnie "moimi rodzicami" - by na poziomie emocjonalnym zastąpili mi moich biologicznych rodziców. A przede wszystkim pragnęłam, by moja teściowa zastąpiła mi matkę. Mimo upływu lat nadal cierpiałam na brak kochającej matki w moim życiu. Chciałam, by moja teściowa była dla mnie matką - taką dobrą, mądrą, kochającą matką. Dlatego starałam się jak mogłam, by sprostać jej oczekiwaniom i spełniać jej prośby.

Ostatecznie moja teściowa też była dla mnie dysfunkcyjną matką. Ale nie tak bardzo dysfunkcyjną, jak moja biologiczna matka. Moja teściowa nigdy mnie nie uderzyła. I moja teściowa nauczyła mnie lepiej funkcjonować w świecie niż moja biologiczna matka.

Pierwsze zauroczenia

Po raz pierwszy zauroczyłam się w piątej klasie szkoły podstawowej, w jednym z moich kolegów z klasy. Kolega ten miał włosy ciemny blond i piękne, niebieskie oczy. Był też o głowę niższy ode mnie, ale nie przeszkadzało mi to - w tamtym czasie wszyscy moi rówieśnicy byli ode mnie niżsi, więc uznałam to za normę.

Pamiętam, jak umówiłam się z nim - całkowicie po koleżeńsku - w jego domu. Graliśmy w bardzo popularną w tamtym czasie grę przygodową "Gothic". Pokazał mi też swojego pupila - była to kotka o przepięknym, długim futrze. Pokazał mi, jak bawi się z nią laserem - kotka szybko i z gracją biegała po pokoju, goniąc czerwony punkt lasera. Koty wtedy mnie jeszcze nie interesowały, a mimo to tamta kotka przykuła moją uwagę - była piękna, zwinna i urocza. Zauroczenie do kolegi szybko mi przeszło, ale sympatia do niego pozostała.

Moje drugie zauroczenie przypadło na szóstą klasę szkoły podstawowej i pierwszą klasę gimnazjum. Padło na innego kolegę z mojej klasy. On również miał włosy ciemny blond i piękne, niebieskie oczy. Mój ulubiony typ męskiej urody. Mieszkał w tej samej wsi, co ja - dzięki czemu bez problemu jeździłam do niego rowerem. Z nim również grałam w "Gothica". Pożyczył mi płyty z muzyką (głównie polskich wykonawców) i filmami. Dzięki niemu poznałam i pokochałam smutne i nostalgiczne utwory polskiego zespołu "Łzy". Z filmów pożyczonych od niego najbardziej zapadł mi w pamięć film dokumentalny "Marsz pingwinów". Rozmawiałam z nim o przyrodzie i zwierzętach. Pamiętam, jak zaprosił mnie na podwórko swojej babci, by pokazać mi jej króliki - były śliczne i miały miękkie, puchate futerka, a on z przejęciem patrzył, czy mi się podobają.

Kolejne moje zakochanie przypadło na drugą klasę gimnazjum, na kolejnego kolegę z mojej klasy. Ta znajomość została jednak szybko ucięta - moja matka powiedziała mi, bym pomyślała o szczęściu i przyszłości tego chłopca, a zaraz potem powiedziała, bym pomyślała też o tym, że jestem zbyt kiepską partią dla niego, bo "zbyt kiepsko się uczę, nie jestem elokwentna i nie jestem zbyt ładna", przez co ten chłopiec nie miałby ze mną dobrego życia - a ja wzięłam sobie do serca słowa matki i pomyślałam o dobru i szczęściu mojego kolegi... Po czym stwierdziłam, że moja matka ma rację i całkowicie odpuściłam sobie starania o jego uwagę.

Zauroczenie ostateczne i nieudane małżeństwo

Miałam 14 lat. Niedługo po tym, jak dałam sobie spokój z kolegą z klasy, na komunikatorze internetowym zagadał do mnie znajomy z forum uniwersum serialu science-fiction "Star Trek", na którym to forum się udzielałam. Znajomy miał na imię Przemek, okazał się być o 7 lat starszy ode mnie i pochodził z Podkarpacia. Odpisałam do niego. Pisało mi się z nim łatwo i przyjemnie, aczkolwiek nie spodobał mi się z urody. Miał ciemne włosy, ciemne oczy, był dość otyły i posiadał irytujący pieprzyk u nasady nosa, między oczami. Moja filozofia życia jednak zakładała, że nie osądzam ludzi po ich wyglądzie i nie kieruję się urodą w wyborze znajomych.

Byłam w takim momencie mojego życia, że czułam się samotna, zagubiona i niezrozumiana...

Coraz więcej i więcej pisałam z Przemkiem. Wydawało mi się, że ten człowiek świetnie mnie rozumie. Zakochałam się, na odległość. Pewnego dnia Przemek został moim chłopakiem - przez pierwsze 3 lata jedynie wirtualnym. To ja zaproponowałam Przemkowi związek. Kiedy miałam 17 lat, Przemek po raz pierwszy przyjechał do mnie - wtedy też pierwszy raz się całowaliśmy. Kiedy skończyłam 18 lat, to Przemek przyjechał do mnie i zabrał mnie do swojego domu rodzinnego, gdzie spędziłam dwa tygodnie i poznałam jego rodzinę. Kiedy miałam 19 lat i ukończyłam liceum - zaręczyliśmy się. Mając 21 lat przeprowadziłam się z mojego domu rodzinnego do domu rodzinnego Przemka. Już po roku od przeprowadzki wzięliśmy ślub. Jednak to zauroczenie miało swój koniec i był on nieunikniony - relacja pomiędzy mną a Przemkiem nie była ani zdrowa ani dojrzała. Po prawie czterech latach małżeństwa i dziesięciu latach związku ja i Przemek rozwiedliśmy się - był to szybki rozwód, ogłoszony już na pierwszej rozprawie, za porozumieniem stron. Rozwód to jedna z najlepszych decyzji podjętych przeze mnie w moim życiu.

To wszystkie zauroczenia i zakochania-nie prawdziwe miłości z mojego życia.

“Zabłąkana”

Moją ulubioną piosenką z wieku nastoletniego jest utwór “Stray” Steve’a Conte’a, który jest muzyką czołówkową serialu anime “Wolf’s Rain”. Jest to nostalgiczna piosenka o błąkaniu się przez samotnego wędrowca, który usilnie i niestrudzenie szuka swojego własnego miejsca w świecie. Ten utwór można rozumieć nie tylko dosłownie, ale także metaforycznie - jako poszukiwanie zrozumienia i akceptacji w świecie, jako poszukiwanie “swoich” - osób, które mogą zrozumieć wędrowca, bo wiedzą, jak to jest być wędrowcem. Od wieku nastoletniego czuję się samotnym wędrowcem w świecie i po części czuję się nim aż do teraz - ale teraz czuję się już zdecydowanie mniej samotna i niezrozumiana.

Wejście w dorosłość - konkretne zdarzenie i data - Ludzka Duża Werka adoptuje Kocią Małą Werkę

Uznaję dwa wyznaczniki dorosłości dla siebie samej.

Pierwszy wyznacznik swojej dorosłości mogę ująć w konkretną datę.

Uznaję siebie za dorosłą od dnia 8 marca 2019 roku. To był naprawdę wyjątkowy dzień - właśnie w tamten dzień zdecydowałam, że moje życie jest naprawdę moje - i tym samym będę robić to, co naprawdę chcę robić i co czuję, że powinnam robić. Nie będę robiła czegoś, ani nie będę też ograniczała się w działaniu i we własnej ekspresji tylko dlatego, że inni ludzie bądź konwenanse społeczne tego ode mnie wymagają. W tamten dzień postanowiłam wziąć na siebie odpowiedzialność nie tylko za swoje, ale także za czyjeś życie - i godziłam się ze wszystkimi tego konsekwencjami. Przyjęłam na siebie wszystkie tego konsekwencje.

Dnia 8 marca 2019 roku - czyli w święto zwane Dniem Kobiet - postanowiłam zrobić najpiękniejszy prezent dla siebie samej i dla innej przedstawicielki płci żeńskiej. Sobie samej postanowiłam dać WOLNOŚĆ. Wolność od toksycznej rodziny Przemka, wolność od spełniania dysfunkcyjnych oczekiwań dysfunkcyjnych ludzi, wolność od sztywnych konwenansów podkarpackiej wsi. Natomiast tej wybranej przeze mnie przedstawicielce płci żeńskiej postanowiłam podarować MIŁOŚĆ I OPIEKĘ.

W tamten wyjątkowy dzień - wbrew surowemu zakazowi moich teściów, którzy powiedzieli, że nie zgadzają się na to, bym adoptowała trzeciego kota - pojechałam do Lublina adoptować mojego trzeciego kota: kotkę Luthien!

Luthien nie jest zwykłą kotką - jest kocią sierotą od małego wychowaną przez człowieka. Jest także kotką, o której od pierwszego spojrzenia w oczy wiedziałam, że jest “moją kotką”.

Moje poczucie i głębokie przekonanie, który kot jest “mój”, a który jest “niemój”, najprościej mogę ująć w taki oto metaforyczny sposób:

Jest kobieta, która była w ciąży i wie o tym, że urodziła dziecko - ale w czasie ciąży i porodu była w śpiączce, więc nie mogła zobaczyć swojego dziecka. Kobieta ta dowiaduje się o tym, że jej dziecko jest, żyje, ale przebywa tymczasowo w innej rodzinie - a jej zadaniem jako prawdziwej matki jest je odnaleźć i wziąć pod swoją opiekę. I ta kobieta szuka swojego dziecka, chodząc od domu do domu i patrząc w oczy dzieci, które w tych domach zastaje. Kiedy w końcu natrafia na swoje dziecko, to patrzy mu w oczy - i wie, że to jej dziecko! Zabiera je ze sobą do swojego domu - po to, by otoczyć je miłością i opieką.

Tak samo ja pewnego dnia obudziłam się i wiedziałam, że mam trzy koty - muszę więc odszukać je i zabrać je do siebie - po to, by otoczyć je miłością, opieką i czułością. Zanim znalazłam Luthien, miałam dwa koty - kota Mako i kotkę Lunę. Głęboko czułam, że jeszcze jedna kotka czeka na mnie - więc godzinami przeglądałam tysiące ogłoszeń na portalach z kotami. Najpierw szukałam w bliskich mi rejonach: czyli województwa podkarpackie, małopolskie i świętokrzyskie. Potem jakiś podszept intuicji mnie podkusił - i w wyszukiwarkę w pole “Miejsce” wpisałam, dość odległy, “Lublin”. Już po kilku stronach znalazłam ogłoszenie, na którym była Luthien - po czym spojrzałam w oczy kotki na zdjęciu i już wiedziałam, że to “moja kotka”!

Moja kotka Luthien jest dla mnie wyjątkowa także z innego względu: już po tym, kiedy po spojrzeniu w oczy Luthien wiedziałam, że to "moja kotka", to w treści ogłoszenia przeczytałam, że jest ona prawdziwą kocią sierotą... W tamtym momencie przypomniała mi się - i to bardzo mocno - moja wizja z dzieciństwa, gdzie będąc Dużą Werką przygarniam Małą Werkę... W tamtym czasie wiedziałam o tym, że nie jestem w stanie adoptować ludzkiego dziecka i nie wiadomo, czy kiedykolwiek to będzie możliwe... Stwierdziłam więc, że Luthien jest Kocią Małą Werką - czyli kocim odpowiednikiem Małej Werki, jakby Małą Werką przemienioną w kota - muszę więc pojechać po nią i zabrać ją do siebie po to, by otoczyć ją miłością i opieką! Muszę dać Luthien dom i rodzinę!

W niezwykle wyjątkowy dzień 8 marca 2019 roku postanowiłam zostać Dużą Werką.

Oczywiście, ogłoszenie o kotce Luthien znalazłam już wcześniej. Miesiąc wcześniej. Napisałam wtedy z propozycją adopcji Luthien do kobiety wystawiającej ogłoszenie, która była pierwszą opiekunką Luthien - po czym dowiedziałam się, że jestem drugą osobą do adopcji kotki, a kotka przebywa już u jej nowej opiekunki, która zgłosiła się przede mną... Dowiedziawszy się tego - wiedzioną jakąś dziwną, pierwotną intuicją - napisałam do Pierwszej właścicielki Luthien prośbę, by ta przekazała Drugiej właścicielce numer telefonu do mnie - by w razie jakichkolwiek problemów z Luthien Druga właścicielka mogła skontaktować się ze mną, a ja udzielę jej porad i wszelkiego możliwego z mojej strony wsparcia. Pierwsza właścicielka wypełniła moją prośbę.

Minął miesiąc i wieczorem, w sobotę poprzedzającą piątek 8 marca, odebrałam telefon od nieznanego numeru - to Druga zadzwoniła do mnie z pytaniem, czy nadal chcę adoptować kotkę, bo ona rozmyśliła się, bo "nie daje sobie z nią rady - raz jej nawet kotka uciekła" i już jej nie chce! Odpowiedziałam szybko: "Tak, oczywiście, że nadal chcę adoptować Luthien! Jak najbardziej! Przyjadę po nią!"

Umówiłam się na odbiór Luthien na piątek 8 marca. 7 marca złożyłam rezerwację na bilet autobusowy z Krosna do Lublina oraz pojechałam do przychodni weterynaryjnej w Potoku, gdzie zakupiłam środek uspokajający dla kotów relanium - stosowany między innymi w celu wyciszenia kota przed długą podróżą.

8 marca ubrałam się, spakowałam torebkę, wzięłam transporterek i wsiadłam w swój samochód. Ani Przemek ani jego rodzina nie wiedzieli o tym, dokąd i po co jadę. Wyjechałam z rodzinnej wsi Przemka i zaparkowałam na parkingu pod budynkiem Regionalnego Centrum Kultur Pogranicza, na ulicy Kolejowej w Krośnie... Wsiadłam z auta i przeszłam pieszo kilkaset metrów na pobliski dworzec autobusowy - skąd wsiadłam w autobus i pojechałam do Lublina.

To była moja pierwsza w życiu samodzielna i samotna podróż tak daleko!

W Lublinie okazało się, że Druga jest niesłowna - przesunęła oddanie Luthien z popołudnia 8 marca na rano 9 marca. Zgodziłam się. Musiałam przez to niespodziewanie nocować w obcym mieście - kilka godzin zajęło mi szukanie taniego hostelu, w którym byłoby mnie stać na nocleg. Wzięłam ze sobą niewiele pieniędzy.

Rano znowu problemy: Druga mocno się spóźniła - ja czekałam pod jej blokiem, a ona przyjechała swoim samochodem z jakiejś imprezy - mocno poczochna, niekompletnie ubrana i z dziwnym wyrazem twarzy... Mi w tym czasie odjechał ostatni autobus jadący bezpośrednio do Krosna...

Weszłyśmy razem do wnętrza bloku. Jak tylko Druga otworzyła drzwi do swojego mieszkania, to Luthien wybiegła na korytarz - zobaczyłam ją i wiedziałam, tak mocno poczułam: TO MOJA KOTKA!

Kiedy weszłam do środka, to Luthien bardzo chętnie przywitała się ze mną i pozwalała, bym ją głaskała. Druga stwierdziła, że koty muszą mnie bardzo lubić, skoro Luthien tak od razu daje mi się głaskać - gdzie Luthien nie chce pozwalać głaskać się Drugiej. Jednak w czasie dalszej wizyty zrozumiałam, że chodzi o to, że Druga najprawdopodobniej musiała wcześniej chociaż raz uderzyć Luthien! Wiedziałam, z jaką obawą kotka cofa się na sam widok

podniesionej w jej stronę ręki i jak lękowo wtedy patrzy, chcąc uciekać. Druga powiedziała, że jednak tak szybko nie odda mi kotki, że musi dowiedzieć się więcej o mnie... Ale zaraz powiedziała, że nie ma czasu, bo musi iść do pracy, więc spotkamy się kiedy indziej! Zrozumiałam wtedy, że ta kobieta chce mnie oszukać - ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, w jaki sposób!

Pomyślałam, że najważniejsze jest bezpieczeństwo Luthien - i twardo powiedziałam Drugiej, że bez Luthien nie wyjdę!

Druga niechętnie się zgodziła. Przeprowadziła długą rozmowę ze mną. Potem przyjechali do jej mieszkania mężczyzna i kobieta - podobno będący jej rodziną. Czułam się przy nich dziwnie i mocno zaniepokojona. Ale nie chciałam ustąpić ze względu na Luthien - nie chciałam dopuścić do sytuacji, gdzie stałaby się jej krzywda. W końcu Druga powiedziała, że chce dostać ode mnie 150 zł jako "zwrot połowy kosztów drapak, żwirku i karmy, jakie musiała ponieść na rzecz kotki". Ja wtedy nie miałam takich pieniędzy - ani przy sobie w gotówce, ani na koncie bankowym. Wszystkie moje oszczędności miałam na lokacie, której nie ruszałam. To był jeden z naprawdę niewielu razy w życiu, kiedy zadzwoniłam do mojej matki, a moja matka od razu mi pomogła - usłyszawszy, że jestem sama w obcym mieście, setki kilometrów od domu i jakichkolwiek znajomych, a nie mam pieniędzy - przelała na moje konto 200 zł.

Druga ucieszyła się, kiedy usłyszała o pieniądzach. Wzięła się za szukanie umowy adopcyjnej Luthien - przy mnie przeszukiwała szafki, ale ostatecznie nie znalazła umowy, a mi powiedziała, że "zapomniała, gdzie ją położyła, ale doślę mi ją pocztą". Podałam Luthien środek uspokajający i włożyłam ją do transporterka. Wyszliśmy z mieszkania na parking, a kobieta z jej rodziną podwieźli mnie najpierw do bankomatu - gdzie wypłaciłam pieniądze i dałam kobiecie 150 zł - a następnie na dworzec autobusowy.

Autobus miałam w przesiadkę w Rzeszowie. A przez całą drogę z Lublina do Rzeszowa, a potem z Rzeszowa do Krosna Luthien cały czas była mocno zaniepokojona - relanium ma czasami działanie odwrotne do zamierzonego, musiałam więc cały czas trzymać jedną rękę w transporterku i głaskać Luthien, bo inaczej jęcząco miała z niepokoju.

W Krośnie spakowałam Luthien do mojego auta i pojechaliśmy do domu Przemka - a ja wiedziałam, że "przygoda pełna zmian dopiero się zaczyna".

Ale nie sądziłam, że czekają mnie kolejne dodatkowe trudności.

Tego samego wieczoru po powrocie - czyli 9 marca - zadzwoniła do mnie Druga z informacją, że ona się rozmyśliła i jednak chce, bym odwiozła Luthien z powrotem do niej! Następnego dnia Druga wysyłała mi SMS-y z informacją, jakoby Luthien miała jakąś dziwną umowę z jedną z lublińskich przychodni weterynaryjnych, według której to umowy za opuszczenie przez Luthien terenu Lublina jest kara wynosząca 1500 zł! Czyste oszustwo i kręctwo!

W ogromnym stresie i z mętlikiem w głowie zadzwoniłam do Pierwszej - dowiedziałam się od niej o tym, że Druga okazała się być zaburzoną psychicznie osobą, która próbuje naciągnąć mnie na pieniądze. Dodatkowo dowiedziałam się także, że Pierwsza nie dała Drugiej żadnej umowy adopcyjnej, a drapak, żwirek i karma były od Pierwszej - czyli Druga żadnych kosztów opieki nad Luthien nie poniosła, a ponadto złamała warunki adopcji, bo nie wykastrowała Luthien. Pierwsza prosiła mnie, bym pod żadnym pozorem nie oddawała Luthien Drugiej - bo ona też bardzo bała się o zdrowie i życie kotki.

Dostałam jeszcze kilka nieprzyjemnych SMS-ów od Drugiej z pogrózkami - ale potem Pierwsza zadzwoniła do Drugiej z informacją, że wie o wszystkim i w razie czego zgłosimy sprawę na policję. Druga na odchodne wysłała mi dwie nieprzyjemne wiadomości i zamikła całkowicie.

Pierwsze dni dorosłego życia - i już takie "przygody" i problemy!

Po przyjeździe do domu Przemka, chciałam pogłaskać Luthien - jeszcze będącą w transporterku. Pół godziny wcześniej, w autobusie, bez problemu pozwalała się głaskać... Tym razem, po włożeniu ręki to transporterku, spotkał mnie ostry ból - Luthien podrapała mnie tak głęboko, jak nie podrapał mnie żaden kot nigdy wcześniej i nigdy później!

Umywarka po myciu mojej rozciętej dłoni była cała czerwona od mojej krwi, a ja musiałam ukrywać przed moim byłym mężem i jego rodziną, co mi się stało.

Wieczorem powiedziałam Przemkowi o tym, że przywiozłam trzeciego kota. Był zrozpaczony. Bał się gniewu swoich rodziców.

Ja myślałam już o tym, jak bardzo chcę się wyprowadzić z tego okropnego miejsca.

Na drugi dzień pojechałam z Luthien do przychodni weterynaryjnej w Potoku, by zostawić ją w tamtejszym kocim hotelu na kilka najbliższych dni - chciałam załatwić rozmowę z teściami i przeprowadzkę na spokojnie, bez jej obecności. Koci hotel nie przyjął Luthien, bo była nieszczepiona - a nawet, jakbym ją zaszczepiła od razu, to musiałoby minąć 2 tygodnie, zanim nabrałaby poszczepiennej odporności i mogliby przyjąć ją do kociego hotelu.

Pojechałam więc do prywatnego kociego hotelu w Jaśle - tam okazało się, że nie mają wolnych miejsc...

Przygnębiona wróciłam do domu Przemka.

Moja teściowa była bardzo zła, kiedy dowiedziała się o trzecim kocie - wiedziała wtedy, że straciła nade mną kontrolę. Chciała ją odzyskać, a mnie złamać. Teściowa powiedziała, że Luthien może przemocować w domu, ale kolejnego dnia mam zawieźć ją do Kociarni w Krośnie. Kotka nocowała w transporterku - nadal była mocno pobudzona i agresywna po relanium i reagowała silną agresją na sam widok Mako i Luny.

Na drugi dzień wzięłam transporterkę z Luthien i pojechałam do Krosna...

Ale nie pojechałam do Kociarni. Pojechałam na parking pod Regionalnym Centrum Kultur Pogranicza i tam zaparkowałam. Rozglądając się po zabudowaniach wokół, rozmyślałam: "Co mam zrobić? Mogę posłuchać mojej teściowej i oddać Luthien do Kociarni - ale to kocia sierota, która nie widziała innych kotów, więc najprawdopodobniej sobie tam nie poradzi... A wzięłam ją po to, by dać jej miłość, opiekę i troskę... A co będzie ze mną, kiedy posłucham nakazów teściowej? Czekam mnie to samo, co do tej pory - wegetacja i smutek, poczucie marnowania swojego jedynego życia..."

Spojrzałam na transporterkę z Luthien i pomyślałam bardzo ważną rzecz: "Gdybym była kotem, nie chciałabym, by mnie oddano" - po czym wyobraziłam sobie, co mogłabym czuć, gdybym w tamtej chwili była kotem na miejscu Luthien... Strach... Niepewność...

Bezradność... To mnie napełniło ogromnym współczuciem do tej małej, bezbronnej kotki - tak bezradnej w całej tej sytuacji... Wręcz skazanej na to, jaką teraz podejmę decyzję.

Po chwili stwierdziłam, że czas sprawdzić, czy negatywne skutki działania relanium w końcu przestały działać - sięgnęłam do transporterka i postukałam w drzwiczki - żadnego gniewnego prychnania. Ostrożnie otworzyłam drzwiczki i czekałam, czy Wściekła Bestia Odwróconego Efektu Relanium wypadnie na mnie z pazurami i zębami...

Po chwili z transporterka wyszła Luthien - w normalnym stanie! Nigdy nie zapomnę tej chwili! Luthien najpierw nieśmiało wychyliła głowę z transporterka i mocno "zaniuchała" (było widać, jak jej nos się porusza). Po chwili spojrzała na mnie, powiedziała głośno i radosne "Mia!", po czym szybko przeszła z siedzenia pasażera kierowcy prosto na mnie - weszła na mój brzuch, kilka razy miałknęła radośnie i zaczęła ugniatać przednimi łapkami, jak małe kocię swoją matkę! Ja pogłaskałam ją po głowie i grzbiecie - a ona miała radośnie i wyginała się tak, by jak najmocniej wtulić się w moją dłoń! Przytuliłam Luthien do siebie, potem spojrzałam w jej pyszczek i powiedziałam: "Nie oddam Cię, Luthien! Będziesz przy mnie! Będziemy razem! Już nigdy nie będziemy same, bo będziemy miały siebie! Jestem Dużą Werką i zaopiekuję się Tobą! Przysięgam Ci miłość, troskę i opiekę - na zawsze! Kocham Cię, Luthien! Będziesz tutaj w Krośnie - bo ja też będę w Krośnie! Znajdę tutaj dla Nas przytulne mieszkanie, a dla siebie pracę, bym mogła Nas utrzymywać! Jestem Dużą Werką, dlatego muszę być samodzielna i odpowiedzialna - i za siebie i za Ciebie. Niedługo poznasz też Mako i Lunę - to wspaniali towarzysze życia i mam nadzieję, że się z nimi zaprzyjaźnisz."

Po chwili spojrzałam na budynki w oddali i pomyślałam: "I mi przydałaby się taka Duża Werka. Albo Wielka Werka. Ktoś, kto byłby moim oparciem... Ale jestem sama. Mój mąż jest moim mężem wyłącznie na papierze. Muszę radzić sobie samemu."

Przypomniała mi się moja wizja z dzieciństwa: kiedy w wizji byłam Dużą Werką idącą po Małą Werkę, to ja byłam tą Dużą, a nie Małą, chyba z jednego powodu - nie potrafiłam sobie wyobrazić, że świat byłby na tyle cudownym i wspaniałym miejscem, że byłabym nie tylko

dawcą miłości, opieki i wsparcia, ale też ich biorcą. Po prostu nie potrafiłam sobie wyobrazić, że w moim życiu mogłoby być tak wspaniale, że ja też mogłabym mieć kogoś, na kim mogę polegać, kto by się o mnie troszczył i kto by mnie chronił.

Szybko wyszukałam w telefonie ogłoszenia o mieszkaniach do wynajęcia w Krośnie - znalazłam ogłoszenie o 34-metrowym mieszkaniu na ulicy Kolejowej. Wysłałam z auta i zadzwoniłam - właściciel mieszkania zgodził się na wynajem z kotami. Powiedziałam, że w razie czego zadzwonię później.

Wsiadłam w samochód i wróciłam do domu teściów.

Teściowa spytała, czy oddałam kotkę do Kociami, na co odpowiedziałam: "Nie. Ona jest ze mną". Teściowa zaczęła mówić, że ona nie chce tej kotki w jej domu, na co odpowiedziałam: "Jeśli nie chcesz mojego kota, to nie chcesz też mnie. Ja i Przemek mieliśmy mieć w tym domu dwa pokoje dla siebie, w którym mieliśmy urządzić nasze gniazdko, a Wy macie dla siebie całą resztę domu. Mimo to, nawet w tych dwóch pokojach nie możemy mieć ani spokoju ani prawa do samostanowienia. KONIEC Z TYM! Powtarzam: jeśli nie chcesz mojego kota, to nie chcesz też mnie! Jeśli mój kot nie może być w tym domu, to ja też w nim nie będę! Wyprowadzam się!"

Nigdy wcześniej nie wynajmowałam mieszkania i nigdy wcześniej nie pracowałam na etat u obcych ludzi...

W ciągu pięciu dni po podjęciu decyzji o przeprowadzce i rozmowie z teściową, miałam już wynajęte mieszkanie w Krośnie i umowę na moją pierwszą pracę na etat.

Już na drugi dzień po decyzji o wyprowadzce, pojeździłam po Krośnie i znalazłam zatrudnienie - w okolicznej restauracji McDonald. Nie była to zbyt dobra praca, ale zawsze coś na start.

Po pięciu dniach po decyzji o przeprowadzce, podpisałam umowę najmu mieszkania. To nie było te mieszkanie, o które wcześniej dzwoniłam. Zdecydowałam, że 34-metrowa kawalerka to za mało dla mnie, Przemka i trzech kotów. Znalazłam inne ogłoszenie: o dwupokojowym, 48-metrowym mieszkaniu na ulicy Stefana Kisielewskiego w Krośnie. Było do remontu, ale w zamian za to odstępne za mieszkanie było niskie, a właściciel mieszkania zgadzał się na koty. A ja chciałam mieć mieszkanie pomalowane i urządzone po swojemu. Najpierw miałam odświeżyć mieszkanie, a wprowadzić się do niego miałam na początku lipca.

Nie powiedziałam właścicielowi mieszkania, że mam męża. Powiedziałam, że zamieszka ze mną mój "kolega". Wstydziłam się tego, że mój mąż obraził się na mnie i zostawił mnie z całą przeprowadzką zupełnie samą.

Wkrótce zaczęłam moją pierwszą etatową pracę. A po kolejnych około dwóch tygodniach zaczęłam remont mieszkania. Moja teściowa jednak zgodziła się, by Luthien mieszkała w jej domu na czas remontu wynajętego przeze mnie mieszkania w Krośnie. Po pewnym czasie zaczęła żałować, że się wyprowadzam. Ja nie żałowałam ani chwili.

Dwa kolejne tygodnie wyglądały tak, że rano jechałam do pracy, po pracy jeździłam do mojego mieszkania, gdzie samotnie zdierałam ze ścian grubą warstwę starej, popękanej farby, a na koniec dnia - z głową białą od pyłu i kurzu - wracałam do domu teściów, gdzie czekały na mnie moje koty. No i Przemek. Przemek powiedział mi, że skoro zachciało mi się wyprowadzek, to mam sobie sama męczyć się z odnawianiem ścian.

Mniej więcej gdzieś w tym czasie miałam załamanie nerwowe w mojej pracy w McDonaldzie - to była bardzo przebodźcowująca praca. Wróciłam wściekła do domu teściów i stwierdziłam, że rzucam tę pracę, bo jest okropna... Po czym weszłam do mojego pokoju i zobaczyłam trzy śliczne kocie pyszczki, które patrzą się na mnie - i zrozumiałam, że wolę cierpieć w pracy, ale zarabiać i móc dbać o moje koty, niż nie pracować, ale też nie móc zadbać o potrzeby moich kotów.

Po oczyszczeniu ścian ze starej farby, nadszedł czas na ich malowanie - tego już nie robiłam sama. Do malowania wynajęłam malarza i kupiłam 30 litrów porządnej farby: większość to była biała farba, do której dokupiłam pigment w moim ulubionym wtedy kolorze jasnej brzoskwini - to na salon i korytarz. Do sypialni i kuchni - kupiłam gotową farbę o

radosnej żółtej barwie, noszącej nazwę "Promienny świt". Do łazienki - mała puszcza zwykłej białej farby.

Do malowania najęłam malarza. Malarz spytał: "Sufity zostawiamy białe, czy też w kolorze?", odparłam: "Też w kolorze!", na co malarz stwierdził: "Siedem na dziesięć osób wybiera biały sufit", na co ja dziarsko odparłam: "Ja jestem z tych trzech na dziesięć!"

[Lygrys zaśmiała się.]

Prace malarskie poszły sprawnie i efekt naprawdę mi się podobał!

Potem kupiłam panele - takie, jakie najbardziej mi się podobały, czyli w kolorze ciemnego dębu, z V-fugą - przy nich już pomagał mi Przemek.

Wpierw było wnoszenie paczek z panelami z bagażnika mojego auta do mieszkania - na czwarte piętro, bez windy...

Ja wzięłam jedną paczkę i zaniósłam. W tym czasie Przemek wziął dwie paczki naraz i zaniósł - chciał, by było szybciej. Mówiłam mu, by uważał na siebie... Za drugim razem Przemek doznał kontuzji nogi... I resztę paczek z panelami musiałam wnieść sama.

Potem ja i Przemek wspólnie ułożyliśmy z paneli podłogę w salonie - to było nasze pierwsze wspólne i samodzielne układanie podłogi z paneli! Nie wiedzieliśmy, jak się za to dobrze zabrać... Zrezygnowany Przemek został w mieszkaniu, a ja pojechałam do marketu, gdzie kupiłam panele - i poprosiłam doradcę klienta z działu paneli o pokazanie mi, jak prawidłowo się je układa. Wróciłam do mieszkania i razem z Przemkiem ułożyliśmy całą podłogę w salonie w ciągu trzech popołudni!

Mieszkanie było takie, jak chciałam, by było.

7 lipca 2019 roku przeprowadziłam się z domu moich teściów do mieszkania w Krośnie. Przeprowadziłam się sama... Przemek dołączył do mnie dopiero po miesiącu mojego samotnego mieszkania tam.

Nie do końca samotnego - bo z kotami...

Na drugi dzień po przeprowadzce, 8 lipca, pojechałam busem z Krosna do Rzeszowa po moje dwa kolejne koty - kocie siostry z jednego miotu: Mothrę i Thaurę. Miałam je obiecane już dwa miesiące wcześniej - po prostu czekałam, aż będą w odpowiednim wieku do zabrania ich od matki. Ich matka, oczywiście, przeszła potem zabieg kastracji. Niedługo po tym, jak zaczęłam pracę w McDonalddie, mój "instykt kocierzyński" znowu dał mi znać, że jest niezadowolony i przez około tydzień szukałam w ogłoszeniach na portalach moich dwóch kolejnych kotów... I tak właśnie natrafiłam na Mothrę i Thaurę. Bardzo chciałam, by nie miały one problemów ani zdrowotnych ani behawioralnych - dlatego uprosiłam ich właścicielkę, by ta poczekała z wydaniem ich do mnie, aż kocie siostry skończą dwanaście tygodni. Kiedy kotki miały ukończone jedenaście tygodni dostałam SMS-a o tym, że koniecznie mam je odebrać - tak też zrobiłam. Mothra i Thaura są różne od siebie i wyglądem i charakterem. Kremowa Thaura jest odważna, dziarska i szybko stała się samodzielną. Natomiast tricolorka Mothra jest bardzo przytulasta, potrzebuje dużo dotyku, pieszczot i towarzystwa - i to właśnie dla niej zabranie jej od matki, w wieku jedenastu tygodni, okazało się zbyt wczesne. Mothra miała objawy kociej choroby sieroczej - szukała matczynego sutka do ssania... Z psychologii wiedziałam, że ssaki mają etapy rozwoju, których pominięcie grozi trwałym defektem na psychice... Bardzo zależy mi na dobrostanie wszystkich moich kotów, dlatego pomyślałam wtedy, że wyjdę na przeciw naturalnym potrzebom kocięcia - i pozwalałam, by Mothra mnie ssała. Tyle, ile potrzebowała. To bywało bolesne, ale zawsze to wytrzymawałam. Czasami do ssania przyłączała się Thaura. Po miesiącu Mothra zaspokoila potrzeby swojego etapu rozwojowego i przestała mnie ssać - jej kocia choroba sieroca została wyleczona!

Luthien również miała kocią chorobę sierocą. Przekonałam się o tym już w czasie pierwszej nocy Luthien w moim łóżku - kiedy to Luthien przyszła do mnie i zaczęła mnie ssać. Mocno. Bolesnie. Do krwi. Zagryzałam zęby i pozwalałam jej na to, bo stwierdziłam, że ona tego potrzebuje. Jednak z czasem niewiele jej przeszło - ale było widać, że czuje się pewnie i bezpiecznie. Po 2-3 tygodniach wyrobiłam między mną a Luthien granicę - na ile może sobie pozwolić, by nie robić mi krzywdy. Już jej nie pozwalałam na ssanie do bólu. Poskutkowało.

Aktualnie Luthien śpi ze mną - zwykle leżąc na kółdrze na mnie, albo leżąc tuż obok mnie pod kółdrą. Nie budzi mnie w nocy i już naprawdę rzadko kiedy próbuje mnie ssać. To, że potrafię być dla moich kotów responsywną opiekunką-matką, która odpowiednio i adekwatnie spełnia ich potrzeby, było jednym z czynników, które sprawiły, że poczułam się dorosła.

Wejście w dorosłość - wewnętrzna przemiana

Drugi wyznacznik mojej dorosłości to moja psychiczna przemiana - pozbycie się największej traumy i fobii, które zafundowała mi moja matka.

Z powodu tego, jak moja matka mnie traktowała - czyli najpierw jako małemu dziecku grożąc mi, że zamieni mnie na dziecko z domu dziecka, a następnie, po narodzinach mojego brata, wyraźnie dyskryminując mnie względem tego brata - nabyłam bardzo, bardzo, ale to niezwykle bardzo głębokiego przekonania-odczucia, że małe dzieci to zagrożenie. Że w ogóle dzieci to zagrożenie. Że dzieci to bardzo wielkie zagrożenie!!!

A ja nie chciałam czuć się zagrożona. Nabrałam więc swoistej niechęci do dzieci.

Oczywiście, dotyczyło to tylko małych dzieci - absolutnie nie dotyczyły to rówieśników.

Natomiast szczerze i prawdziwie żałowałam tego, że nie jestem jedynaczką. Miałam wrażenie, że matka traktowałaby mnie chociaż trochę lepiej, gdybym nie miałam brata - nie miałabym wtedy ani konkurencji o ochłapy matczynej uwagi i o zasoby rodziców ani moja matka nie miałaby mnie do kogo porównywać.

Potem, kiedy z dziecka stałam się nastolatką i zaczęłam miesiączkować, zrobiło się jeszcze gorzej. Wraz z moim dojrzewaniem w mojej matce uruchomiła się wręcz paranoiczna obawa o to, że zajdę w ciążę. Dziesiątki razy usłyszałam od mojej matki srogie przestrogi i groźby o tym, co strasznego się stanie i o tym, jak to ona mnie pobije, wyrzeknie się mnie i mnie wyrzuci z domu, jeśli przyniosę jej wstyd w postaci "nieślubnego brzucha" (matka używała też gorszych i wulgarnych słów, ale już nie chcę ich sobie przypominać - tak bardzo mnie to obrzydza).

A tymczasem ja - odkąd zaczęłam myśleć i być samoświadoma - nie chciałam być w ciąży, nie chciałam rodzić i nie chciałam mieć dzieci. Nie chciałam tego w taki normalny sposób - nie chciałam i już. Nie pragnęłam tego. Ale też myśli o tym nie zaprzętały mojej głowy. Kiedy zaś moja matka straszyla mnie zamianą mnie na dziecko z bidula, a następnie pojawił się mój brat - wtedy moje pragnienie bezdzietności-braku rozmnażania zrobiło się czynne, tj. zaczęło zaprzętać moje myśli.

Natomiast kiedy zaczęłam dojrzewać, a moja matka zaczęła mnie straszyć wizjami nieślubnej ciąży i wszystkich przerażających konsekwencji tej ciąży dla mnie - wtedy stało się coś naprawdę złego...

Mój umysł w końcu nie poradził sobie ze stresem wynikłym z ciągłej ekspozycji na wizje i groźby bycia pobitym i bezdomnym. MÓJ UMYSŁ ULEGŁ WYPACZENIU. Dostałam fobii przed byciem w ciąży i fobii przed posiadaniem dzieci! Moja fobia objawiała się bardzo intensywnie. W sytuacji, kiedy np. na ulicy mijałam kobietę w widocznej ciąży doznawałam skrajnych i bardzo nieprzyjemnych emocji. Wstręt. Odraza. Obrzydzenie. Skrajna niechęć. Lęk. Strach. To wszystko budził we mnie widok ciążowego brzucha - albowiem widok ten bardzo jednoznacznie kojarzył się mojej podświadomości z wizją bycia odrzuconym, porzuconym i wypędzonym. Z byciem wykluczonym i napiętnowanym społecznie. Z byciem przegranym. To właśnie wtedy nauczyłam się, że ze wszystkich obelg jakie są, najgorszą jest określenie "bękart".

Niestety, w tamtym czasie na poziomie świadomego Ja nie byłam świadoma wszystkich powodów swoich odczuć - było mi więc ciężko walczyć z tą fobią. Nie mówiąc już o tym, że wtedy w ogóle nie chciałam walczyć ze swoją fobią - nie widziałam wtedy absolutnie żadnego powodu, by to robić. Moje emocje wynikłe z fobii uznawałam wręcz za tarczę ochronną - tarczę przed społeczną i życiową przegraną.

Były we mnie też trzy inne bardzo istotne powody, przez które nie chciałam mieć dzieci. Istniały one i na poziomie świadomym i na poziomie podświadomym.

Pierwszym powodem było głębokie przekonanie, że macierzyństwo czyni kobietę zniewoloną i nieszczęśliwą - w końcu tyle razy usłyszałam od mojej matki, że beze mnie byłoby jej lepiej. A wszędzie wokół słyszałam i czytałam o tym, jakie to kobieta ma obowiązki wobec swoich dzieci i co musi im zapewnić - a była to lista długa i przytłaczająca. Drugim - równie ważnym - powodem było głębokie przekonanie: skoro miałam okropną matkę, to ja sama będę okropną matką. A moje dzieci czułyby się tak, jak ja się czułam - czyli niechciane i niekochane. Dlatego nie powinnam mieć dzieci - by te dzieci nie cierpiały. A trzeci powód był bardzo praktyczny, bardzo prosty i bardzo brutalnie rzeczywisty. Nieludzko bałam się tego, że moje dziecko urodziłoby się z tą samą wadą wrodzoną, co ja - czyli z rozszczepem podniebienia. I byłoby niemową. I z niemal nadludzkiej trudem i z okrutnym bólem uczyłoby się mówić - w odrzuceniu i ostracyzmie społecznym. A na to absolutnie nie chciałam pozwolić. Do dzisiaj mam łzy w oczach, kiedy w artykułach o rozszczepie podniebienia czytam zdanie: "Jeżeli wadą obarczona jest matka, ryzyko wystąpienia tej wady u potomstwa wzrasta dwukrotnie." [Lygrys wyraźnie robi się smutna.] Kiedy w wieku 21 lat miałam krytyczne problemy z miesiączkowaniem, to w końcu po raz pierwszy udałam się do ginekologa - gdzie dowiedziałam się, że mam cechy zespołu policystycznych jajników i mogę mieć przez to problemy z płodnością. Wtedy nie umiałam smucić się z tego powodu. Myślałam o tym, że faktycznie nie powinnam mieć dzieci.

Lata mijały, a ja żyłam we wstręcie i nienawiści do ludzkiej prokreacji. I w strachu o kształt swoich własnych genów. Kiedy poznałam Przemka, był on przerażony moim skrajnie negatywnym podejściem do rozmnażania - jednak uznał i na swój sposób uszanował fakt, że nie chcę mieć własnych dzieci i nie chcę zajmować się jakimikolwiek małymi dziećmi. Potem uświadomiłam sobie, jak bardzo było to dla niego wygodne.

Mając 18 lat zaczęłam regularnie jeździć do rodzinnego domu Przemka. Dzięki temu miałam okazję poznać rodzinę Przemka - w tym jego kilkuletnią (teraz już nastoletnią) siostrzenicę Madzię. Madzia jest uroczą i charakterną dziewczynką o moim typie urody - ma jasną cerę, ciemne włosy i przenikliwe, ciemnobrązowe oczy o jednorodnej barwie. Na początku miałam do Madzi dość obojętny i neutralny stosunek. Z czasem jednak, kiedy Madzia podrosła, a ja zaczęłam spędzać z nią czas, to polubiłam ją - i to naprawdę mocno! Madzia przypominała mi mnie samą z przeszłości. Jedyńca, o kontrolującej matce, lubiąca biegać i wspinać się na drzewa, a także mająca dość niestereotypowe jak na dziewczynkę zainteresowania, takie jak np. dinozaury. Kiedy Madzia miała 8-11 lat, to grałyśmy razem w badminton, chodziłyśmy na spacer, parę razy poszłyśmy razem do kina. Wielokrotnie pilnowałam Madzi - czy to w domu teściów, czy w domu szwagierki - i pilnowanie jej sprawiają mi ogromną radość i przyjemność... Taką radość i przyjemność, jaką nie spodziewałam się odczuwać w kontakcie z dzieckiem! W końcu pewnego razu stwierdziłam, że posiadanie pod opieką już trochę podrośniętego dziecka wcale nie jest takie złe!

Bardzo dobrze pamiętam pierwszy płacz Madzi w mojej obecności. Miałam wtedy 18 lat, a Madzia miała około 4 lat. Działo się to w rodzinnym domu Przemka, gdzie byłam wtedy ja, Przemek, Madzia, matka Madzi (moja szwagierka) i moi teściowie. Już nie pamiętam jaki był początek zdarzenia, czyli powód płaczu - ale Madzia rozplakała się. Któryś z innych dorosłych podszedł do Madzi. Madzia nadal płakała - i to głośno. Natomiast ja, widząc tę sytuację, autentycznie przerażona uciekłam do pokoju Przemka, skryłam się za drzwiami, przycisnęłam swoje dłonie do swoich uszu, by nie słyszeć płaczu Madzi - po czym sama, całkowicie bezgłośnie, zaczęłam płakać. W takim stanie znalazł mnie Przemek. Spytał się, co się mi stało. Ja wtedy odpowiedziałam mu szczerze, że rozplakałam się z przerażenia, że kiedy matka Madzi zobaczy, że jej dziecko płacze, a obok będę ja - to uzna mnie za winną i wyładuje na mnie swój gniew. Bo przecież matki tylko czekają, by wyładować na kimś swoją złość i frustrację. Chwilę po tym, kiedy to powiedziałam, uświadomiłam sobie, że moja matka zawsze szukała winy we mnie, kiedy mój brat płakał albo kiedy przydarzyło mu się cokolwiek nieprzyjemnego. Uświadomiłam sobie wtedy, że moja fobia przed dziećmi to nie jest jedynie

strach przed byciem w ciąży i strach przed negatywnymi konsekwencjami posiadania dzieci - to jest także strach przed gniewem i złością matek dzieci, które mogą zechcieć szukać we mnie winy i zechcieć wyladować swoje emocje na mnie - tak, jak to robiła moja matka. Czyli znowu: tak, jak w przypadku poczucia zagrożenia ze strony sierot uświadomiłam sobie, że prawdziwym winnym tego poczucia zagrożenia jest moja matka, tak samo w przypadku poczucia zagrożenia ze strony dzieci ogółem - uświadomiłam sobie, że tak naprawdę odczuwam zagrożenie ze strony ich matek... A właściwie ze strony mojej matki.

Bywały jednak chwile, kiedy wracałam do moich myśli i kusił mnie ten mit osobisty o Małej i Dużej Werce. Od czasu pierwszej wizji tego, że jestem Dużą Werką idącą po Małą Werkę, miałam w sobie głębokie przeświadczenie, że - pomimo tego, że nie nadaję się na biologiczną matkę, bo za bardzo przeraża mnie myśl o byciu w ciąży i porodzie - to mogłabym być dobrą matką adopcyjną. Mówiłam o tym Przemkowi - on jednak nie był przekonany do utrzymywania i wychowywania niebiologicznego potomstwa. A ja byłam przekonana, że Przemek w ogóle nie nadaje się na ojca. Pomimo tego czasami siadałam do komputera i sprawdzałam, jak wyglądają procedury adopcyjne. Robiłam to z jakiejś głębszej potrzeby. Wyglądało to tak, jakbym miała rozgrzane serce... do czegoś... A potem siadałam z Przemkiem - i w czasie wspólnej rozmowy wychodziły takie argumenty-uprzedzenia wobec dzieci z domów dziecka, jak np. to, że mogą mieć FAS, że "na pewno odziedziczyli patologiczne skłonności po swoich biologicznych rodzicach", że "nie wiadomo, co z nich wyrośnie - ale bardziej bandyta niż normalny człowiek", i tym podobne... I moje rozgrzane serce się ochładzało, aż stawało się takim kawałkiem lodu napelnionym uprzedzeniami... Ale po jakimś czasie znowu robiło się gorące - i znowu "wymagało studzenia". Ale po każdym - nieważne jak bardzo udanym - studzeniu, moje serce znowu się rozgrzewało. Mit osobisty to ogromna siła - nie jest łatwo się jej wyrzec lub odciąć się od niej. Kiedy jednak problemy w moim małżeństwie przybrały na sile, to mój mit osobisty na jakiś czas odszedł na bok. Jednocześnie zaczęłam w moim życiu poznawać nowych, dobrych ludzi.

Mając 22 lata byłam uczennicą drugiego roku w szkole medycznej na kierunku technik farmaceutyczny. Co czwartek odbywaliśmy praktyki w aptece. Mi i mojej koleżance do odbywania praktyk została przydzielona apteka na ulicy Kolejowej w Krośnie. W aptecę tej kierowniczką i zarazem opiekunką praktyk była pani magister farmacji, która wtedy była matką dwójki małych dzieci.

Z tą panią magister mam przełomowe wspomnienie. Jest to pierwsza kobieta-matka, która opowiedziała mi o porodzie jako o czymś zupełnie niestrasznym i nienegatywnym.

Pamiętam, że pewnego dnia jej mąż przyprowadził jej małe dzieci do apteki - a w oczach pani magister pojawiła się niewysłowiona miłość i troska wobec tych dzieci. Pani magister powiedziała nam, że macierzyństwo daje jej ogromną radość i satysfakcję. Następnie pomiędzy mną, drugą praktykantką a panią magister wywiązała się rozmowa, w której ze strony drugiej praktykantki padło pytanie:

"Jak to w ogóle jest, że mężczyźni kochają swoje dzieci? W którym momencie zaczynają je kochać? Z kobietą jest prosto - w jej wnętrzu rozwija się dziecko, kobieta rodzi je, czuje ten ból, a potem czuje radość, opiekuje się tym dzieckiem... A mężczyzna przychodzi po porodzie - i dziecko jest. Mnie to zastanawia, bo trudno jest mi to sobie wyobrazić, jak to działa."

Pani magister odpowiedziała:

"Ale ja sama nie pamiętam tego, jak rodziłam moje dzieci! I za pierwszym i za drugim razem miałam cesarkę. Lekarze uspili mnie, a jak się obudziłam, to otwarłam oczy, rozejrzałam się, patrzę: a tam koło mojego łóżka było dziecko! I myślę sobie: <To moje? No chyba moje!> I wzięłam je w ręce, popatrzyłam na nie - i je pokochałam! Tak po prostu! A prawie żadnego bólu też nie czułam - byłam w rękach moich znajomych lekarzy, oni bardzo dobrze się mną zajęli, dostałam wszelkie potrzebne leki. Miłość matki nie musi iść w parze z cierpieniem. I z tych powodów nie mam problemu wyobrazić sobie jak to jest, jak mężczyzna po raz pierwszy widzi swoje dziecko i zaczyna je kochać - ta miłość sama przychodzi!"

Pani magister mówiła to z takim przekonaniem, z taką radością i z takim błyskiem w oczach... Uwierzyłam jej. Ja byłam jej słowami jednocześnie bardzo zdziwiona i bardzo pozytywnie zaskoczona - po raz pierwszy kobieta opowiedziała mi, że poród nie musi oznaczać przerażającego bólu i krwawej gehenny. Dało mi to nowe spojrzenie na proces zostawiania matką.

Kolejnym przełomowym wydarzeniem w kwestii uczuć rodzicielskich była obserwacja mojego przyjaciela-Mentora z Krosna w roli ojca. Niestety, jeśli chodzi o uczucia ojcowskie, to również w tej kwestii z moich obserwacji wynikało negatywne doświadczenie - i tym samym negatywne przeświadczenie. Na podstawie obserwacji mojego teścia, męża mojej szwagierki, a także wielu innych znanych mi ojców, a także po obserwacji ogólnopopulacyjnego faktu, że ojcowie łatwo pozostawiają dzieci, jeśli te np. są chore lub niepełnosprawne - doszłam do wniosku, że rzadko który ojciec naprawdę kocha swoje dzieci. Stwierdziłam, że dla ojców posiadanie dzieci to głównie spełnienie chęci przekazania swoich genów, inwestycja na przyszłość, a także sposób na "uwiązanie" kobiety-matki dzieci przy sobie, a o wiele mniej - jeśli w ogóle - chęć zaspokojenia pragnienia miłości i opieki. Przy czym do uczuć swojego własnego ojca nie potrafiłam się odnieść. Jako nastolatka kończąca bycie nastolatką głównymi mężczyznami będącymi ojcami w moim życiu byli mój teść i mąż mojej szwagierki - a byli oni ojcami bardzo kiepskimi i dość przemocowymi. Dysfunkcyjnymi.

Ze zdumieniem i pozytywnym zaskoczeniem odkryłam, że mój Mentor jest zupełnie inny - jest opiekuńczy, troskliwy, pełen czułości. Miałam okazję widzieć, jak sam zajmuje się swoją małą córeczką - np. kąpie ją, suszy jej włosy, przebiera ją albo przygotowuje i podaje jej posiłki. W środowisku, z którego pochodzę, nie spotkałam się z ojcami, którzy tak całościowo zajmowali się swoimi dziećmi - miłym więc zaskoczeniem było przekonać się, że nie cały świat jest taki, jak te mierne środowisko społeczne, które znałam do tej pory. A że byłam z moim Mentorem emocjonalnie bardzo związana - to ja potrafiłam odczuć i zrozumieć te emocje. W sensie: miałam wobec Niego empatię, więc jego emocje dopuszczałam do siebie, nigdy ich nie negowałam. A za każdym razem, kiedy widziałam Mentora ze swoją córką, zdawał się on być pełen troski, ciepła, opiekuńczości, trudnowyraźnalnej w słowach czułości i miłości. Po prostu ten wspaniały człowiek swoją postawą i zachowaniem absolutnie przekonał mnie do tego, że mężczyźni też mają autentyczne, głębokie i szczerze rodzicielskie uczucia!

Oczywiście, córeczkę mojego Mentora bardzo polubiłam! Naprawdę bardzo! Czasami za nią tęsknię... Parę razy mi się śniła. Ona jest tak przewspaniałym, przeradosnym i przekochanym dzieckiem, że myślę, iż mogłaby roztopić niejedno lodowe serce! [Lygrys zaśmiała się.] Moje roztopiła!

Jakiś czas potem dorabiałam sobie jako opiekunka do 3,5-letniej dziewczynki z autyzmem wczesnodziecięcym, imieniem Zosia. Zosia jest precudna, przekochana i prześlina. Małe, radosne, rozbrykane, autystyczne złoto z wielkimi niebieskimi oczami i blond włoskami! Opiekowałam się Zosią w moim mieszkaniu - i razem zachwycaliśmy się moimi kotami, a Zosia za nimi ganiała. W mieszkaniu było tak wesoło i radośnie! Kiedy przyznałam się moim rodzicom, jak sobie dorabiam, to moja matka parsknęła z niedowierzaniem: "Ty jako opiekunka do dziecka? Chyba będziesz tym dzieckiem po ścianach rzucać!" [Lygrys zaśmiała się.] Moja matka nie pomyślała o tym, że mogłam zmienić się i skutecznie pozbyć się tych wstrętnych, obrzydliwych traum i fobii, które tak głęboko we mnie zaszczepiła! Ja naprawdę uwielbiałam opiekować się tym dzieckiem! Dostarczało mi to tak wiele radości, że czasem dziwiłam się sama sobie! Jak się nad tym zastanowię, to w sumie odkąd mój Mentor przekonał mnie do dzieci, to chyba wszystkie małe dziewczynki budzą we mnie czułość - całe może czułości! - i chęć opieki.

A w czasie opiekowania się małą Zosią stało się coś jeszcze - po każdej zakończonej opiece czułam dojmującą pustkę w mieszkaniu... I tęsknotę za Zosią. Był taki raz, że najchętniej bym jej nie oddała. [Lygrys śmieje się.] Było to w czasie, kiedy mój obecny partner Karol

wypytywał mnie, jakie mam plany na przyszłość - i pytał głównie o to, czy chcę mieć dzieci. Na początku mówiłam, że "nie" - w końcu tak odpowiadałam przez swoje całe dotychczasowe życie. A potem któregoś dnia obudziłam się - a pamiętam ten dzień bardzo dobrze, bo był to jeden z moich pierwszych dni zdrowia po przechorowanym COVID-zie - i po obudzeniu stwierdziłam, że mogłabym być matką! Tak głęboko to w sobie poczułam. Poczułam, że mam ku temu i pragnienie i odpowiednie psychofizyczne parametry! Już nie uważałam się za kogoś gorszego, pokochałam siebie i potrafiłam też dostrzegać swoje zalety - dlatego stwierdziłam, że jednak nadaję się na matkę. I mam w sobie takie pragnienie. Na całe szczęście moje i Karola, wkrótce potem odpowiedziałam na jego pytanie o dzieci "tak"!

I to była właśnie ta chwila, kiedy poczułam się taka naprawdę dorosła-dorośla: kiedy poczułam, że byłabym w stanie zostać matką - nieważne, czy biologiczną, czy adopcyjną. Ten moment, kiedy i na poziomie świadomym i na poziomie podświadomym odrzuciłam moje najgorsze dysfunkcyjne myśli i skrypty, moje lęki i fobie - był momentem mojego wyzwolenia i momentem kulminacyjnym mojej dorosłości. Momentem mentalnego odrodzenia się mnie jako człowieka niezależnego w swoim myśleniu od myśli narzuconych i wdrukowanych mi przez innych.

To jest naprawdę wspaniałe, cudowne i odmieniające doświadczenie - obudzić się i nie mieć złych, fobicznych myśli w głowie, które dręczyły niemal całe dotychczasowe życie! [Lygrys oddycha z ulgą.]

Edukacja, praca i odkrycie samej siebie

W swoim życiu pracowałam w różnych miejscach. Na początku - jako jeszcze niepełnoletnia i dopiero co pełnoletnia dziewczyna - pracowałam jako sprzedawca w firmie mojego ojca, czasami w firmie matki. Następnie w wieku 21 lat przeprowadziłam się do rodzinnego domu Przemka i w pobliskim Jaśle zapisałam się do szkoły policealnej - było to dwuletnie dzienne studium medyczne, na kierunku technik farmaceutyczny. W tamtym czasie najbardziej chciałam iść na studium na kierunek technik weterynarii... Ale, niestety, nie było tego kierunku w najbliższym rejonie, a uczyć się poza domem się bałam - wtedy nie wyobrażałam sobie mieszkania w akademiku, stacji, czy w wynajmowanym pokoju. Technik farmaceutyczny był drugim, po techniku weterynarii, kierunkiem, który najbardziej mnie interesował. Moja szwagierka odradzała mi pójście na ten kierunek - powiedziała mi, bym trzeźwo oceniła swoje edukacyjne zdolności, bo w końcu skończyłam liceum z oceną jedynie dopuszczającą z chemii - a przecież na kierunku farmaceutycznym nauki z chemii będzie o wiele więcej, niż w liceum - więc pewnie sobie nie poradzę. Ale ja wiedziałam, czego chcę. Nie posłuchałam rady szwagierki. Uczyłam się po nocach, czasami nawet płakałam z nerwów przed egzaminami... I szkołę skończyłam! Zdałam egzaminy - i praktyczny i teoretyczny - z dobrymi wynikami. Kończąc szkołę medyczną miałam w głowie myśl, że nie chcę pracować w aptece, a w sklepie zielarskim. Już tego samego dnia, którego odebrałam dyplom kwalifikacji zawodowych, załapałam się na dzień próbny w sklepie zielarskim w Jaśle. Niestety, nie zostałam przyjęta. W sumie nie dziwię się - wtedy byłam przed diagnozą i przed jakąkolwiek terapią, przez co, jako nieświadoma siebie autystka, wypadałam nieco "dziko" - tak teraz o tym myślę. Wysyłałam jeszcze CV po innych sklepach zielarskich - i nic. Zrezygnowałam i poddałam się, po czym próbowałam z aptekami w Jaśle, Krośnie i Jedliczu - też nic. Potem - po podjęciu decyzji o adopcji Luthien i przeprowadzce z domu teściów do Krosna - podjęłam pracę w gastronomii. Najpierw w restauracji McDonald, a następnie w knajpie z kebabami przy krośnieńskim dworcu kolejowym. W międzyczasie byłam na rozmowie o pracę w krośnieńskiej fabryce wytwarzającej produkty z plastiku i tworzysh sztucznych - ale, ku mojemu smutkowi, nie zostałam przyjęta. W knajpie z kebabami pracodawca oszukiwał mnie na wypłacie - więc po kilku miesiącach zrezygnowałam. Pojechałam na 4 miesiące do mojego domu rodzinnego pracować w firmie matki (matka była wtedy na zwolnieniu chorobowym i potrzebowała pracownika). Następnie wróciłam do Krosna i dzięki znajomej dostałam pracę na magazynie w sklepie z odzieżą używaną. Potem

przyszła depresja i napięcia z Przemkiem wywołane moją ostateczną decyzją o rozwodzie. Zrezygnowałam z pracy w sklepie odzieżowym. Niedługo potem przeprowadziłam się do Rzeszowa...

[Lygrys bierze głęboki oddech, po czym uśmiecha się, a jej twarz rozpromienia się.]

I w Rzeszowie pracowałam tylko przy tym, co daje mi satysfakcję! [Lygrys mówi z widoczną radością i dumą z siebie.] Stwierdziłam, że będę mieć nowe, lepsze życie w nowym, lepszym miejscu i koniec z pracami, w których czuję się, jakbym pracowała za karę! Moją pierwszą pracą - a była to praca bardzo dorywcza - była praca u mojej znajomej, w charakterze opiekunki do jej 3,5-letniej córeczki Zosi - tej samej Zosi, o której wcześniej opowiadałam. To było tak, że opiekowałam się Zosią w moim mieszkaniu. Z prostego powodu: w moim mieszkaniu były moje koty - a matka Zosi bardzo chciała, by Zosia miała kontakt z kotami, bo Zosia miała problem z relacjach z innymi dziećmi - bo nie chciała mówić do nich - a do zwierząt była o wiele bardziej otwarta. Było więc tak, że opiekowałam się Zosią w moim mieszkaniu, a Zosia wesoło biegała i bawiła się z moimi kotami. I to było na drugiej lub trzeciej wizycie Zosi u mnie - chwilę po tym, jak jej matka przyszła ją odebrać: Zosia patrzyła na jedną z moim kotek i było widać, że bardzo chce, by ta kotka do niej podeszła - i Zosia patrzyła tak na nią, patrzyła... Aż w końcu wskazała na nią palcem i POWIEDZIAŁA do niej: "Chodź"! Bardzo zaskoczona i jeszcze bardziej ucieszona matka Zosi powiedziała mi, że jej córka nigdy wcześniej nie powiedziała "Chodź"! Tym samym okazało się, że Zosia tak zapragnęła kontaktu z kotem, że jej pierwsze wypowiedziane "Chodź" było do kota, a nie do drugiego człowieka! Potem wyczytałam, że dzieci autystyczne - i ogólnie dzieci z problemami neurorozwojowymi - mają o wiele większą motywację do kontaktu ze zwierzętami, a nie z innymi ludźmi. Potem przypomniałam sobie, że przecież i dla mnie koty były impulsem do wzmożonego rozwoju. Siłą rozpędu zaczęłam czytać o tym więcej i natrafiłam na artykuły o felinoterapii - czyli terapii dla dzieci i osób dorosłych przy pomocy specjalnie wyszkolonych kotów. Bardzo zainteresował mnie ten temat - był jedną z myśli stale powracających do mojej świadomości.

Praca w aptece i walka o swoje prawa

W międzyczasie przeszłam terapię i "uspołecznianie" na oddziale dziennym rehabilitacyjnym psychiatrycznym. Jeszcze w trakcie trwania terapii złożyłam wniosek o orzeczenie o stopniu niepełnosprawności - wiem, że jako autyście przysługuje mi coś takiego. Wiedziałam, że jako zdrowy psychicznie autysta - czyli autysta posiadający sam autyzm, bez chorób psychicznych - prawidłowo powinnam otrzymać orzeczenie z symbolem niepełnosprawności 12-C - czyli całościowego zaburzenia rozwoju. Niedługo potem ukończyłam terapię na oddziale dziennym i byłam zdecydowana, że znajdę pracę - i stwierdziłam, że będzie to praca w moim wyuczonym zawodzie, czyli praca jako technik farmaceutyczny w aptece! Żadna inna! Najpierw jednak poczekałam na rozpatrzenie mojego wniosku o orzeczenie - stwierdziłam, że z odpowiednim orzeczeniem będzie mi łatwiej szukać pracy - bo mój ewentualny pracodawca miałby częściowe finansowanie mojej wypłaty i tym podobne... Minęło niecałe dwa tygodnie po zakończeniu terapii, kiedy dostałam list z odpowiedzią z rzeszowskiej Komisji ds. Orzekania o Niepełnosprawności - komisja przyznała mi orzeczenie w stopniu lekkim... z nieprawidłowym symbolem 02-P - czyli oznaczającym chorobę psychiczną! BYŁAM ZDRUZGOTANA! [Lygrys powiedziała z przejęciem, podniesionym głosem.] Kiedy tylko zobaczyłam przyznany mi symbol na orzeczeniu, to zawyłam jak zranione zwierzę, ze wstrętem odrzuciłam pismo z orzeczeniem i rozplakałam się [Lygrys głośno westchnęła.] Prawo apteczne wyraźnie mówi, że są wykluczone z pracy w aptece te osoby, które - pomimo posiadania odpowiedniego wykształcenia - posiadają orzeczenie o niepełnosprawności z symbolem 02-P. Natomiast autyści mający orzeczenie z symbolem 12-C mogą normalnie pracować w aptece. Z pomocą prawnika z Rzeszowskiego Stowarzyszenia na rzecz Dzieci Niepełnosprawnych i Autystycznych SOLIS RADIUS - które w takich sytuacjach za darmo pomaga autystom w każdym wieku - odwołałam się od przyznanego mi symbolu na orzeczeniu - argumentując, że z mojej dokumentacji medycznej wyraźnie wynika, że jestem zdrowym psychicznie autystą, a przyznany mi nieprawidłowy

symbol de facto zabrania mi pracy w moim jedynym wyuczonym zawodzie. Odwołałam się pierwszy raz... I komisja odrzuciła moje odwołanie jako "bezzasadne"! Potem odwołałam się drugi raz - tym razem do komisji wyższej instancji... I znowu moje odwołanie zostało odrzucone jako "bezzasadne"! Ale nie poddałam się! Odwołałam się po raz trzeci - tym razem do Sądu! [Twarz Lygrys przybrała zacieklą minę.] Przy czym uświadomiłam sobie, że najlepszą dla mnie strategią byłoby mieć już pracę w aptece i powołać się na to w odwołaniu do Sądu... Zrobiłam więc coś, o co sama bym siebie nie podejrzewała... Bez orzeczenia, na szybko, zrobiłam to, co nie udało mi się przez poprzednie 3 lata - znalazłam pracę w aptece! I złożyłam odwołanie do Sądu. Potem rozpoczęłam pracę w aptece - oczywiście, mój pracodawca nie miał pojęcia o tym, że jestem autystą! Po nieco ponad miesiącu pracy w aptece, wezwana, stawiałam się na badanie przez biegłego sądowego psychiatrę - dokładnie przeczytał on całą moją dokumentację, przeprowadził ze mną wywiad i zbadał on mój stan psychiczny. Potem poczekałam kolejne kilka miesięcy... I 21 kwietnia 2022 roku miała miejsce rozprawa sądowa - na której Sąd przyznał całkowitą rację mojej argumentacji i wygrałam rozprawę! Został mi sądownie zmieniony symbol niepełnosprawności z 02-P na 12-C! Doczekałam się sprawiedliwego potraktowania! [Lygrys wyszczerzyła się, jakby w "kocim" uśmiechu.] Niestety, w moim życiu o sprawiedliwe traktowanie w przeważającej większości sytuacji musiałam walczyć.

Praca w aptece jednak nie dała mi pełni szczęścia i satysfakcji - w końcu nigdy o niej nie marzyłam. Teraz rozglądam się za pracą w sklepie zielarskim - tak, jak chciałam tego na początku. Natomiast pracą, o której marzę i do której stopniowo dążę, jest praca jako felinoterapeuta przy terapii dzieci i dorosłych z autyzmem, z problemami psychicznymi, czy z niepełnosprawnościami. To byłaby dla mnie dobra praca - biorąc pod uwagę fakt, że chciałabym pracować i z kotami i z innymi autystami.

Młody łąbędź spotyka dorosłego łąbędzia. Mała Werka spotyka Dużego Werka. Poznanie Mentora

Szczególnie ważną osobą w moim dorosłym życiu jest mój Mentor z Krosna. Nie chcę podawać jego prawdziwego imienia ani jego ksywy, a w moich wspomnieniach i opowieściach nazywam go głównie Mentorem - bo tym właśnie dla mnie jest. Mojego Mentora poznałam w ostatni weekend sierpnia 2019 roku. Niedługo po mojej przeprowadzce do Krosna czułam się okropnie samotna i odezwało się we mnie moje pragnienie do poszukiwania "swoich". Poszukałam więc w okolicy tego, co czułam, że powinno przyciągać ludzi takich, jak ja - moją uwagę przykuł konwent fantastyki i gier planszowych. Dzień przed konwentem trwały przygotowania do niego - na które także mogły przyjść osoby z zewnątrz. Sprawdziłam lokalizację: budynek Regionalnego Centrum Kultur Pogranicza. Pomyślałam "Wiem, gdzie to jest!"

Pojechałam na przygotowania do konwentu. Moją szczególną uwagę przykuł lider grupy nieformalnej, która przygotowywała konwent, a także jego nastoletni, przybrany syn - oni oboje wyróżniali się na tle grupy, ale na całkowicie odmienne sposoby. Lider był charyzmatyczny, pewny siebie, otoczony ludźmi, a przewodzenie grupie zdawało się być nieodzowną cechą jego tożsamości. Jego przybrany syn był zupełnie inny - cichy, nieśmiały, wycofany i trzymający się na uboczu. Lider grupy dobierał wolontariuszy i ochotników w grupki bądź pary i przydzielał im zadania. Ja przyszedłam jako jedyna całkowicie nowa osoba i dostałam zadanie na końcu - miałam porozwieszać plakaty, w parze z przybranym synem lidera. Na początku wcale nie chciałam być w parze z tym chłopcem - stwierdziłam, że skoro sama jestem nieśmiała, wycofana i odstająca od normy, to nie jest to rozsądne, bym była w parze z drugą taką osobą. Jednak będąc nieśmiała nie śmiałam otwarcie oponować na te rozwiązanie - tym bardziej, że na samym początku czułam się dość speszona przy liderze grupy, a nawet w pewien sposób się go bałam... W parze z synem lidera porozwieszałam plakaty - przy okazji uważnie go obserwując. Po obserwacji stwierdziłam, że jest on ze specyfiki ruchów i niezdarności podobny do mnie - a jednocześnie ma w sobie coś takiego, co ma mój powinowaty kuzyn Karol - który jest autystyczny. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co to wszystko oznacza. Pamiętam zaś doskonale chwilę, kiedy na koniec dnia przygotowań do konwentu lider grupy podziękował mi za pomoc - i wtedy spojrzeliśmy sobie w oczy. W jego niebieskich oczach było coś przenikliwie przyjaznego, serdecznego, budzącego zaufanie - coś, co wyglądało na znajome i dobre - coś, co sprawiło, że natychmiast po tym spojrzeniu przestałam się go bać. Wychodząc z przygotowań do konwentu nie mogłam przestać myśleć o jego niezwykłych oczach.

Na dwóch dniach konwentu, w ostatni weekend sierpnia, bawiłam się świetnie. A prelekcją, która najbardziej przypadła mi do gustu, była prelekcja lidera grupy.

Na koniec konwentu pomagałam przy fizycznych pracach związanych z porządkowaniem sali - czyli najwyczejajniej w świecie, z resztą ekipy, znosiłam stoły i krzesła z piętra i parteru budynku do piwnicy. Po zakończeniu fizycznych prac lider grupy zaprosił wszystkich członków ekipy i pomagających przy konwencie na wyjście na piwo do pobliskiego pubu - i od razu wszyscy tam poszli. Ja poszłam z nimi - a to było moje całkowicie pierwsze wyjście na piwo z obcymi ludźmi! Na tym wyjściu po raz pierwszy zagadałam do lidera grupy i okazało się, że jest bardzo przyjazny, a mój strach przed interakcją z nim zniknął zupełnie. Dostałam zaproszenie na tzw. podsumowanie konwentu, które odbyło się trzy tygodnie później.

Po powrocie do mieszkania nie mogłam przestać myśleć o liderze grupy i jego synu. I o jakimś podobieństwie pomiędzy synem lidera a Karolem, a także moim z nimi oboma. I o pewnym podobieństwie pomiędzy liderem a Karolem. Nie miałam pojęcia, co to wszystko znaczy. Ale bardzo chciałam dowiedzieć się, co to znaczy! **BARDZO CHCIAŁAM WIEDZIEĆ!**

Pomyślałam, że najlepiej byłoby o tym wszystkim porozmawiać z Karolem...

Problem tkwił w tym, że wtedy nie rozmawiałam z Karolem od siedmiu lat! I to z mojego wyboru! Przez siedem lat ignorowałam wszelkie wiadomości od Karola... Był on moją niespełnioną miłością i przez tak długi czas nie potrafiłam z nim rozmawiać.

Ale wydarzenia ostatnich dni coś we mnie zmieniły... I na drugi dzień po konwencie zrobiłam to - po siedmiu latach milczenia napisałam do Karola!

O, dziwo, pisało się nam bardzo dobrze. Karol nic nie pytał, dlaczego tak długo milczałam. Karol znowu wydał mi się taki podobny do mnie... A wiedziałam o tym, że ma on zdiagnozowany zespół Aspergera. Z ciekawości poczytałam o zespole Aspergera w Internecie. Czytałam i czytałam. W końcu trafiłam na stronę, na której były cechy żeńskiego spektrum autyzmu... I cyk - wszystkie brakujące kawałki układanki się znalazły i w tamtej chwili uświadomiłam sobie, że mam autyzm! Ojejku! Jeszcze wypełniłam, dostępny w sieci, Aspie-quiz - uzyskałam wynik wysoce autystyczny! Nawet dużo powyżej przeciętnej! Przez następne dwa tygodnie uświadamiałam sobie pewne fakty o sobie i godziłam się z myślą o tym, że jestem autystyczna. Potem moja autodiagnoza została potwierdzona przez psychiatrę.

Po trzech tygodniach od konwentu poszłam na spotkanie z okazji jego podsumowania. Byłam i na części oficjalnej i na części rozrywkowej. W czasie części rozrywkowej, zarówno ja, jak i lider grupy wypiliśmy dość sporo alkoholu. Ja po alkoholu mówię więcej i zachowuję się bardziej śmiało, niż na trzeźwo. Tamtego wieczoru szczególnie obserwowałam lidera. Stwierdziłam, że muszę go zapytać o to, co podejrzewałam. Kiedy lider usiadł przy mnie, by zapytać, jak się bawię, to po chwili - zdesperowana i możliwe, że trochę zbyt głośno - zapytałam go: "Słuchaj, jest taka sprawa... Dzisiaj i na konwencie obserwowałam Ciebie i Twojego syna... Czy Ty i Twój syn macie zespół Aspergera?", na co lider spojrzął na mnie i powiedział miękko: "Jeśli chodzi o niego - tak, on ma zespół Aspergera, stwierdzony przez specjalistów. A co do mnie - ja nigdy się nie diagnozowałam. Owszem, wiele osób już mi mówiło, że zachowuję się autystycznie... Ale myślę, że najważniejsze jest to, jakim się jest człowiekiem, a nie jaką się ma diagnozę. A mówię to jako ktoś, kto w swoim życiu naprawdę wiele przeszedł i spotkał wielu różnych ludzi. Wiem, jak to jest być wzgardzonym i odrzuconym przez własną matkę - jako mały chłopiec trafiłem do domu dziecka, gdzie byłem sam, zdany tylko na siebie. Wiem też, jak to jest spotkać wspaniałych ludzi na swojej drodze i mieć ich wokół siebie. Prawdziwą wartością są nie etykiety określające ludzi, a to, jak zachowujemy się wobec innych."

Lider mówił jeszcze przez chwilę, co w swoim życiu przeszedł. A kiedy słuchałam o tym wszystkim, to zaczęłam płakać... Kiedy dowiedziałam się o tym, że lider także miał odrzucającą matkę, a na dodatek był w domu dziecka - co było moim największym strachem i obawą dzieciństwa - to mój umysł zalała fala prawdziwego, głębokiego współczucia... Kiedy lider zobaczył, że płaczę, to wyglądał, jakby myślał, że ja płaczę nad samą sobą, a nie z jego powodu. Objął mnie i mówił do mnie pocieszające słowa, a ja wtuliłam twarz w jego szyję. Byłam jak młody łąbadek przy dorosłym łąbiedziu. I wtedy poczułam się inaczej. Inaczej niż w całym swoim dotychczasowym życiu. Potrafię opisać to jedynie tak, że poczułam się jak Mała Werka, która w końcu znalazła swoją Dużą Werkę... Swojego Dużego Werka. Poczułam się zbawiona!

Spacery z Mentorem. Mentor czynnikiem powodującym wewnętrzne przemiany

Przez następne kilka miesięcy ja i mój Mentor mieliśmy tylko sporadyczny kontakt, kiedy ja przychodziłam na spotkania jego grupy. Wszystko się zmieniło dnia 25 czerwca 2020 roku. Wróciłam wtedy do Krosna po czterech miesiącach spędzonych w moim domu rodzinnym. Odwiozł mnie mój ojciec. Jak weszliśmy do mieszkania, w którym został Przemek z piątką moich kotów - któremu przesyłałam potrzebne środki do opieki nad kotami - to zastaliśmy okropny bałagan i Przemka twierdzącego, że liczył na to, że po moim powrocie ja to wszystko ogarnę... Nie wytrzymałam! Stwierdziłam, że oszaleję, jeśli tego wieczoru nigdzie nie wyjdę! Ale nie wiedziałam dokąd iść... Do głowy przyszła mi tylko jedna opcja... Wzięłam telefon i zadzwoniłam do mentora - pytając go, czy mogę do niego na chwilę przyjechać. Zgodził się. A była godzina za kwadrans 22-ga. Pojechałam do mieszkania Mentora. Jako pretekst do spotkania wzięłam i dałam mu torbę czereśni, jakie zerwałam w swoim rodzinnym domu. Następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Tym razem Mentor powiedział mi, że codziennie wieczorem chodzi na godzinne spacery i zaproponował mi, bym chodziła razem z nim. Zgodziłam się. Tak bardzo się cieszyłam! Nie dość, że mogłam spędzać czas z Mentorem, to jeszcze miałam pretekst, by codziennie wieczorem znikać z domu! Hurra! Przez blisko dwa i pół miesiąca chodziłam na spacery z Mentorem. Czas spacerów był dla mnie czasem niezwykłym - miałam dokładnie takie towarzystwo, jakie potrzebowałam wtedy mieć, a dzięki temu zadziało się we mnie wiele pozytywnych przemian.

Przemiana pierwsza

Pierwsza przemiana była najbardziej oczywista. Do czasu spacerów z Mentorem moją ulubioną i docelową dla mnie formą komunikacji z innymi ludźmi było pisanie - głównie przez

komunikatory internetowe. Mówienie nadal sprawiało mi wiele trudności i nie byłam zadowolona ze stopnia poprawności mojej wymowy - uważałam, że nadal zdecydowanie zbyt mocno seplenię - ale jednocześnie nie ćwiczyłam tego. Mentor od zawsze prowadził bardzo zabiegany tryb życia i najzwyczajniej w świecie nie miał czasu, by pisać ze mną o tym, o czym mogliśmy porozmawiać na głos w czasie wspólnych spacerów. Ja też nie odważyłabym się marnować jego czasu - szanuję Mentora, dlatego też szanuję jego czas. A bardzo, bardzo mocno chciałam wymieniać z Mentorem myśli - chciałam, by on mnie lepiej poznał i zrozumiał, a także chciałam lepiej poznać i zrozumieć jego - dlatego musiałam mówić. Codziennie dużo mówić. A aby codziennie dużo mówić, musiałam przełamać swój silny wewnętrzny opór biorący się z mojego przekonania, że zbyt mocno seplenię, by móc tak wiele mówić do kogoś bez ryzyka bycia wyśmianym lub odrzuconym. Stwierdziłam jednak, że zaryzykuję. I tak mówiłam, mówiłam i mówiłam... Słuchać też słuchałam... A Mentor słuchał, mówił i słuchał - bez jakichkolwiek obiekcji... Aż w końcu mowa głosem stała się moją domyślną formą komunikacji! Hurra! Stałam się zdrowiona!

Przemiana druga

Druga przemiana miała miejsce już w pierwszym tygodniu naszego wspólnego chodzenia na spacer. Była dość gwałtowna... Pamiętam, jak na pytanie Mentora, dlaczego po prostu nie spróbuję zrobić tego, czego pragnę - na przykład pójść na studia wyższe - odpowiadałam, że nie wyobrażam sobie zacząć coś robić bez pewności, że na pewno mogę ukończyć podjęte działania. Mentor powiedział, że szukam sobie wymówek przed podjęciem działania, a moja postawa jest de facto dysfunkcyjna. Bardzo mnie to wtedy zdenerwowało, chociaż na spacerze nie dałam tego po sobie poznać. Kiedy po spacerze wróciłam do swojego mieszkania, to zaczęłam demolować sypialnię, wyklinając na Mentora, że mnie nie rozumie, po czym rozgniewana i zmęczona usiadłam na łóżku... I wyobraziłam sobie swoje Superego jako drugą mnie, stojącą metr ode mnie. Supergo powiedziało:

“Znalazłaś Dużego Werka? Znalazłaś! Czy zagadałaś do Niego po pomoc, radę i wsparcie? Zagadałaś! Czy Duży Werek udzielił Ci rady? Udzielił! Dobra... To co zrobiłaś, gdy Duży Werek udzielił Ci rady? Ano zezłościłaś się w pierony! A dlaczego zezłościłaś się w pierony? Ano dlatego, że rada ta okazała się trudna, niewygodna i niekomfortowa - bo okazało się, że nawet prawdziwa sierota może nie zachowywać się w życiu jak sierota, tylko może śmiało działać, iść do przodu i być szczęśliwa! A Ty jesteś takie wzgardzone “dziecko pańskie z dobrego domu”, które sobie ubzdurało, że skoro nie miało na starcie wsparcia i bezwarunkowej miłości swoich rodziców, to oznacza to, że już całe życie będzie przegrane i jednocześnie - co za paradoks! - będzie niepoprawnym perfekcjonistą “zacząć i skończyć, albo nie zaczynać wcale”! A tu ktoś mądrzejszy, mający o wiele gorszą i trudniejszą przeszłość mówi, że wcale tak nie musi być! I że Twoje życie jest Twoje! No, naprawdę - dla ostatniego przegrywa to najlepszy argument na to, by się obrazić i przestać chodzić na spotkania z kimś, na kogo poznanie tak bardzo się czekało! Chyba, że jednak nie jesteś ostatnim przegrywem - i uznasz swój brak racji, uspokoisz się i z prawdziwą wdzięcznością pójdziesz jutro na kolejny spacer z Dużym Werkiem - a On da Ci kolejną swoją mądrość, dzięki której sama będziesz bliżej stania się prawdziwą Dużą Werką?”

A ja chciałam i chcę być Dużą Werką!

I tak, byłam wtedy pełna złości tylko dlatego, że Mentor powiedział mi trudną i przykrą prawdę o mnie samej. Zaakceptowałam prawdę. Kolejnego dnia z jeszcze większą radością poszłam na wspólny spacer.

Od czasu tamtego arcyważnego monologu wewnętrznego nie boję się ani podejmować nowych działań, o których nie mam pewności, czy im sprostam, ani nie boję się poznawać trudnej prawdy o sobie.

Przemiana trzecia

Trzecia i czwarta przemiany były tymi największymi. Obie to były przemiany rdzenia mojego światopoglądu, rdzenia mojego systemu wartości, rdzenia mojej osobowości - rdzenia samej mnie!

Trzecia przemiana. Dopóki moja ukochana babcia żyła - czyli do mojego 13-go roku życia - żyłam w miłości do świata i do ludzi. Jednak, kiedy moja babcia umarła, to nienawiść, zawiść i pogarda, a także niezwykle surowe ocenianie i etykietowanie były jedynym, czego uczyłam się w rodzinnym domu. Dzięki postawie Mentora zmieniłam się. Na nowo pokochałam ludzi i świat. Na nowo zaczęłam ufać ludziom. Wyzbyłam się oceniania i etykietowania, a nauczyłam się empatycznego podejścia do ludzi. To nie było łatwe, ale ja chciałam się zmienić i podjęłam się zmiany siebie. Nieważne, jak bardzo wiele trudności i bólu sprawiło mi to po drodze - było warto!

Przemiana czwarta

Czwarta przemiana to mój życiowy przełom. Od śmierci babci zmagalam się z niską samooceną i problemami wynikłymi z tego, że ciągle byłam odrzucana przez moją matkę. W pewnym momencie - około 18-go roku życia - nawet miałam ochotę umrzeć, bo wydawało mi się, że osoby, które są niekochane przez swoje własne matki nie zasługują na to, by żyć... Kiedy zaś poznałam Mentora moje myślenie się zmieniło. Mentor ma rodzinę, pracę, pozycję społeczną i przyjaciół pomimo tego, że został odrzucony przez matkę i był w domu dziecka. Zrozumiałam więc, że każda osoba sama kreuje swoje życie - a pochodzenie nie ogranicza człowieka! Dzięki temu zaczęłam robić rzeczy, których wcześniej nie robiłam, bo uważałam, że na nie nie zasługuję. Zaczęłam dbać o swój samorozwój, o swoje samopoczucie i o swoje relacje społeczne. Uwierzyłam w to, że moje cele i marzenia mogą być taki same, jak osób kochanych przez oboje rodziców - i że tak sami jak oni, ja też mogę te cele i marzenia spełniać!

Duża Werka wspomina Dużego Werka

Mój Mentor był wobec mnie niezwykle responsywny. Był bardzo wspierający, czuły i troskliwy, jednocześnie jednak potrafił powiedzieć mi, co robię źle - zawsze szczerze i taktownie. Nigdy nie podniósł na mnie głosu. Przez mój czas pobytu w Krośnie był moim najlepszym przyjacielem. Zwierzałam mu się i mówiłam moje sekrety. Jak wielkie znajdowałam w nim pocieszenie najlepiej odzwierciedla fakt, że kiedy w tajemnicy powiedziałam mu, że się rozwodzę, to przez następne czterdzieści minut tulił mnie, delikatnie głaskał i pocieszał mnie, kiedy ja cały czas płakałam.

Pamiętam, jak był koniec sierpnia 2020 roku i w czasie jednego ze spacerów, Mentor poprosił mnie, bym opowiedziała jakąś piękną i wzruszającą historię. Opowiedziałam historię adopcji mojej kotki Luthien. Na koniec Mentor powiedział: "To była naprawdę dobra historia. I mówię prawdę. Uwierz mi, sam jestem starytellerem. Powiedz mi, dlaczego nie opowiadasz takich historii innym osobom z naszej grupy?" Odpowiedziałam, że nie umiem się przed nimi otworzyć. Mentor odpowiedział: "Szkoda. Myślałem, że skoro to ludzie dla mnie, to będą też dla Ciebie. Szkoda, że tak nie jest. Życzę Ci, abyś znalazła ludzi, przed którymi się otworzysz."

Jedną z rzeczy, która bardzo wyraźnie przyciągnęła mnie do mojego Mentora jest fakt, że, pomimo całej swojej łagodności i prospołecznego stylu życia, przyznawał się on, że posiada "demony przeszłości" - czyli to samo, co ja posiadam. Wiedziałam, że Mentor nie mówi na wyrost, ale też nigdy nie dopytywałam się, który "demon przeszłości" sprawia mu najwięcej bólu.

Zadrą w moim sercu jest to, że ja nigdy nie przyznałam się Mentorowi, że i ja posiadam takie "demony przeszłości", ani nie opowiedziałam mu o nich. Czułam się źle nie mówiąc Mentorowi pewnych faktów z mojej przeszłości - ale też z racji jego pochodzenia

przeogromnym wstydem i strachem byłoby dla mnie powiedzieć mu wtedy, jak wyglądały moje "demony". Teraz byłabym wobec niego bardziej szczerą.

Mentor był jedną z najważniejszych osób w moim życiu. Czuję wobec niego niewymowną wdzięczność. Bez niego nie byłabym teraz tym, kim jestem. Mentor jest dla mnie jednocześnie jak starszy brat, dobry ojciec, dobra matka i jak przedłużenie mnie samej.

Kiedy dogłębnie zastanowiłam się nad tym, to stwierdziłam, że w mitologii mojego własnego umysłu Duża Werka jest po prostu archetypem Idealnej Matki - jest tą, która kocha i troszczy się, kiedy biologiczna matka zawodzi.

Mentor był dla mnie uosobieniem archetypu Idealnej Matki. To jest stwierdzenie najlepiej oddające istotę zaufania i ciepła w relacji pomiędzy mną a Nim. Na początku dziwiłam się samej sobie, że to właśnie mężczyzna jest dla mnie uosobieniem archetypu Idealnej Matki. A potem przyszło olśnienie zrozumienia: skoro w moim mniemaniu kobiety zawodzą jako matki, to właśnie mężczyzna jako niekobieta może być tą Idealną Matką!

Relacja z Mentorem była dla mnie prawdziwym doświadczeniem korekcyjnym. Już wyjaśniam. Doświadczenie korekcyjne to doświadczenie relacyjne, które pełni rolę nośnika transformacyjnych zmian osobistych. Koncepcja ta narodziła się w kręgach psychoanalityków. Przenika wszystkie formy psychoterapii. Zwykle doświadczenie korekcyjne ma pacjent ze swoim terapeutą, ale jak najbardziej takie doświadczenie mogą mieć także ludzie między sobą w życiu codziennym. Z drugiej strony: czy dobry mentor nie jest dla podopiecznego kimś w rodzaju terapeuty? Nie wiem, czy mój Mentor kiedykolwiek zastanawiał się nad tym. Ale wiem, że relacja z Nim była dla mnie doświadczeniem korekcyjnym o prawdziwie terapeutycznym skutku.

Mentor idealnie wpisał się w mój mit osobisty. Był i jest moim Dużym Werkiem. Nigdy mu tego nie mówiłam. Uważałam, że to jest zbyt dziwne, by mu to powiedzieć. [Lygrys zaśmiała się.]

Miłość, Przyjaźń, Zmiana

Najważniejsze dla mnie wartości moralne i duchowe to MIŁOŚĆ, PRZYJAŹŃ i ZMIANA. ZMIANA SIEBIE.

Zmiana siebie to umiejętność zmiany swojego światopoglądu i podejścia do świata, umiejętność zmiany swojego systemu wartości. Uważam, że to jedna z najbardziej przydatnych umiejętności. Dzięki niej nie jesteśmy niewolnikami systemu wartości, w którym się wychowaliśmy.

Moja matka wychowała mnie w nienawiści, pogardzie i przemocy - i psychicznej i fizycznej. Moja babcia była jedyną tarczą ochronną przed negatywnymi skutkami zachowania mojej matki wobec mnie - ale nawet ta tarcza nie zawsze pomagała. A kiedy jej zabrakło, moje podejście do świata uległo nagłemu załamaniu. Jako nastolatka mocno etykietowałam ludzi - a ludzi z pewnymi określonymi etykietami uważałam za gorszych i czułam wobec nich pogardę i nienawiść. Najgorszym epitetem, jaki znałam, było słowo "bękart" - gardziłam ludźmi pochodzącymi z tzw. "wpadki" i pozamałżeńskimi. Źle patrzyłam też na osoby po rozwodach. Uważałam osoby niepełnosprawne za obciążenie dla społeczeństwa - w tym osoby z autyzmem. Naprawdę, wstyd mi teraz za to, jakie straszne i okropne miałam wtedy poglądy - mimo, że de facto nikogo nie krzywdziłam, a raczej zachowywałam te poglądy dla siebie, to... To po prostu straszne było czuć to, co ja wtedy czułam.

Nienawiść niszczy przede wszystkim nienawidzącego...

Jako gimnazjalistka miałam straszny sen. Śniło mi się, że jestem oficerem-katem w hitlerowskim obozie zagłady. W tym śnie pędzę wszystkich tzw. "niegodnych życia" do komór zagłady, gdzie są zagazowywani. Są tam m.in. autyści, sieroty, nieślubne dzieci, niepełnosprawni różnego rodzaju, chorzy psychicznie, itp. Ja zapędzam ich do komory zagłady, po czym... Wchodzę do tej komory razem z nimi. Mówię do zgromadzonych: "Żadna osoba po zrobieniu czegoś tak potwornego jak to, co ja robię teraz, nie może dalej żyć. Jestem potworem, więc umrę tu razem z Wami. A jestem tutaj z Wami, bo moja matka mnie nie kocha - a dla ludzi niekochanych przez swoje własne matki jest szczególne miejsce w piekle - i właśnie dlatego tutaj jestem".

Byłam gotowa zabić się tam z nimi. Dla dobra społecznego. Dla dobra normalnej większości. I także po to, by nie żyć z tą dojmującą myślą, że moja własna matka mnie nie kocha.

A jak musi czuć się ktoś wychowany w pogardzie i nienawiści do tak wielu ludzi? Ktoś noszący w sercu nienawiść i pogardę, a jednocześnie tak bardzo pragnący miłości, przyjaźni, akceptacji i kontaktu z innymi? Wiedzący, że sam zalicza się do chociaż jednej z grup, które powinien nienawidzić i wzgardzać? Ktoś, kto wie, że nie urodził się ani pełnosprawny na ciele ani normatywny na umyśle?

[Głos Lygrys robi się łamiący, a ona sama jest bliska płaczu.]

Nienawidzi przede wszystkim siebie! Tak bardzo! Ja bardzo siebie nienawidziłam... Czułam, że nie powinno mnie w ogóle być, że nie powinnam żyć! W końcu sama jestem odstępstwem od normy! A moja własna matka mnie dręczy i pokazuje mi, że mnie nienawidzi, że mnie nie chce i że mnie odrzuca! A skoro moja własna matka, MOJA WŁASNA MATKA mnie nie kocha i mnie nie chce, to jak ja mogę żyć? Jak w ogóle mogę mieć czelność chcieć żyć? Czy to nie jest działanie wbrew naturze?

[Po twarzy Lygrys płyną łzy.]

Miałam wtedy około 18 lat. I czułam się dokładnie tak, jak to przed chwilą opisałam. Stwierdziłam, że skoro własna matka mnie nie kocha, a jestem odstępstwem od normy i skazą na ciele normalnego społeczeństwa, to faktycznie... Nie powinno mnie być. I do dzisiaj nie wiem, czy to była prawdziwa próba samobójcza, czy rodzaj dyskusji samej ze sobą...

Wyglądało to tak: wzięłam z kuchni duże opakowanie leków przeciwbólowych, poszłam do swojego pokoju, usiadłam na łóżku... I zaczęłam te tabletki połykać... Jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta... A w czasie połykania tabletek myślałam: "Jeśli teraz umrę, to już na pewno nie spotka mnie nic dobrego. Już nikogo więcej nie pokocham. Nikt nie pokocha mnie. Nie zobaczę moich przyjaciół. Agnieszka, Aśka i Martyna - jak one będą się czuły, jak dowiedzą się o tym, co zrobiłam? Jak teraz się zabiję, to nie zobaczę też Karola... Jak on będzie się czuł, kiedy dowie się, że mnie nie ma? Na pewno będzie mu smutno i przykro... Przecież wiem, że bardzo mnie lubi... Obiecałam sobie, że jak dorosnę, to pójdę do niego i mu wszystko wyjaśnię, odnowię z nim kontakt... Ale nie zrobię tego, jeśli teraz się zabiję... Jako dziecko obiecałam sobie też, że znajdę inną Werkę... Nawet, jeśli miałabym przemierzyć cały świat, to znajdę inną Werkę! To chyba niemożliwe, by na świecie nie było nikogo innego takiego, jak ja... Jakby się poczuła moja babcia, gdyby mnie teraz zobaczyła - jak jej ukochana wnuczka chce się zabić... Świat... Świat to nie tylko moja matka. A moja skala uczuć to nie tylko nienawiść i pogarda... Moja matka... Jak bardzo, przeokropnie okrutnie bardzo matka musi być zła, by sprawić, że jej własne dziecko będzie chciało się zabić? TAKA MATKA TO POTWÓR! Co ja robię! Chcę się zabić dla matki-potwora! Tak samo, jak jako dziecko chciałam zabijać sieroty dla matki-potwora! NIE! DOŚĆ TEGO! Dla moich przyjaciół, dla Karola, dla innej Werki i dla samej siebie - NIE MOGĘ TEGO ZROBIĆ!" Więcej tabletek nie zjadłam. Wzięłam i odrzuciłam opakowanie tabletek daleko od siebie! Obiecałam sobie też, że nigdy więcej nie zrobię sobie czegoś takiego - nigdy więcej nie spróbuję przestać żyć!

[Lygrys jest widocznie poruszona. Przez chwilę siedzi w ciszy.]

Wracając do moich największych wartości. Ogromne znaczenie ma dla mnie ZMIANA. Zmiana człowieka w sobie. Ale żadna zmiana nie dzieje się sama... MIŁOŚĆ ma MOC ZMIAN!

Ja musiałam mieć jakąś konkretną osobę, bym mogła do niej poczuć coś więcej, niż uprzedzenia. Nawet nie musiała to być żywa osoba. Dobra była nawet postać fikcyjna.

Pamiętam, jak pierwszy raz miałam okazję poczuć empatię do "tych, którymi powinnam gardzić". Jeszcze na początku gimnazjum, moja wirtualna przyjaciółka Luiza - wiedząc, że mam niską samoocenę z powodu faktu urodzenia się z rozszczepem podniebienia - ku pokrzepieniu serca wysłała mi książkę fantasy "Naznaczeni błękitem" Ewy Białołęckiej. Była to powieść o niepełnosprawnych magach. Na początku obruszyłam się o taką tematykę książki... A potem, kiedy okazało się, że głównym bohaterem historii jest mag Kamyk, który urodził się głuchoniemy - głuchoNIEMY! - to nie potrafiłam mu nie współczuć i wielokrotnie popłakałam się w czasie czytania tej książki. Potem moje współczucie rozrosło się do reszty niepełnosprawnych bohaterów powieści. A potem rozrosło się też na podobnie doświadczonych ludzi w realnym świecie.

Kiedy miałam 13 lat poznałam mojego powinowatego kuzyna Karola. Praktycznie od razu bardzo go polubiłam. Z czasem go pokochałam. Pewnego dnia wyznał mi, że ma zespół Aspergera - wyznał mi, że jest autystą! I ja nie przestałam go po tym kochać! Przeciwnie - chciałam go chronić. Miałam bardzo specjalny sen po tym wyznaniu Karola: W tym śnie hitlerowcy łapią autystów - po to, by ich zlikwidować. W tym śnie ludzie "przydatni społecznie" - czyli też hitlerowcy - mają specjalną opaskę na rękę - to taka symboliczna przepustka do przeżycia. W tym śnie ja też jestem hitlerowcem - więc muszę autystów łapać. Jednak, kiedy napotykam Karola - który nie ma opaski-przepustki - to oddaję mu swoją opaskę i mówię: "Uciekaj!". A kiedy Karol ucieka, myślę: "Ty masz ojca i matkę, którzy Cię kochają - masz dla kogo żyć! A po mnie nikt nie będzie płakał!" Nie jestem hipokrytką i nie naginam swoich zasad - jeśli więc uratowałam autystę, to muszę za to zapłacić: życie za życie. Oczywiście, na koniec snu hitlerowcy łapią mnie - ostatnia rzecz, jaką czuję we śnie, to zimna stal pistoletu, przyłożonego do mojego czoła, przed wystrzałem.

Kotów na początku też nie darzyłam sympatią. Wprawdzie nie czułam do nich nic negatywnego - ale pozytywnego też nie. Ale wolałam koty rasowe od kotów-dachowców, bo "wszystkie koty-dachowce są z wpadki".

Moja matka po prostu tak bardzo nie chciała, bym sama zaszła w nieplanowaną ciążę, że straszyla mnie i groziła mi do tego stopnia, że dostałam fiksacji na punkcie nieplanowanych ciąż... Byleby sprostać oczekiwaniom dysfunkcyjnej matki - uważałam, że wszystkie nieplanowane ciąży są złe!

Kiedy w kwietniu 2018 roku kotka mojej teściowej urodziła kocurka, to po odkryciu tego powiedziałam do rodziny Przemka: "O, nieeee! Jest kolejny kot z wpadki! Trzeba go oddać!" i przez następne 2-3 tygodnie nazywałam małego kocurka "Kotem z Wpadki Kociej Matki". A potem nastął dzień, kiedy Przemek przyniósł mi zawiniątko w kocyku i nakazał w nie spojrzeć. Spojrzałam: z kłębka białego futerka patrzyła na mnie para przepięknych, błękitnych oczu! Niemalże identycznych oczu, jak u mojego ukochanego kuzyna Karola! Zakochałam się w tych oczach i w tym kocurze od pierwszego wejrzenia! Wzięłam kocurka na ręce i wiedziałam, że jest mój. Mój ukochany "kotosyn" (koci "syn" ludzkiej matki)! Najpierw kocurka nazwałam Karol - po moim ukochanym kuzynie. Potem dostał jeszcze "nazwisko" Mako i jeszcze jedno imię: i obecnie kocur ten nazywa się Rodney Karol Mako, w skrócie: Mako. Naprawdę pokochałam Mako. Nie pozwoliłam go oddać. Adoptowałam go i wzięłam na swoje utrzymanie. Otoczyłam miłością, troską i opieką. I odkąd pokochałam Mako żaden kot nie jest już dla mnie "kotem z wpadki" - wystarczyło po prostu, bym takiego kota pokochała!

Jednak nie zawsze zmiana zachodzi łagodnie. Bo kiedy pokochałam mojego kuzyna, a lata potem pokochałam kocura Mako, to zmiana zaszła we mnie łagodnie - oksytocyna załała mój mózg i dzięki temu zmiana była bezbolesna.

Kiedy przeprowadziłam się do Krosna stwierdziłam, że chcę zacząć nowe życie w nowym miejscu, jako "czysta karta" - ale nie jest łatwo o to, tak wymazać z siebie wszystkie uprzedzenia. Kiedy poznałam mojego Mentora, to moje ostateczne wyzbycie się wszelkich uprzedzeń wobec sierot i nieślubnych dzieci też było zmianą łagodną i bezbolesną. Ale mój Mentor ma też inne poglądy, których na początku nie podzielałam: jak chociażby to, że ludzie są sobie równi bez względu na kolor skóry, wyznanie, czy status społeczny. Na początku nie rozumiałam tego. Ale zaufałam Mentorowi, że to jest dobre. I zrobiłam sobie "przeszczep" części światopoglądu - brutalnie wydarłam z siebie części starego światopoglądu, odrzuciłam daleko od siebie i zastąpiłam to kawałkami światopoglądu skopiowanymi od Mentora. Wtedy dosłownie bolał mnie mózg! A po tym "przeszczepie" stałam się inna - naprawdę pokochałam ludzi w tej całej niesamowitej różnorodności, jaką są!

Natomiast co do osób z problemami psychicznymi... Kiedy trafiłam na terapię na oddział dzienny psychiatryczny, to poznałam tam jednych z najlepszych ludzi, jakich znam! Poznałam tam moich najlepszych przyjaciół i znajomych - ludzi, którzy bardzo pomogli mi, ja im pomogłam, i którzy są ze mną do tej pory. Jednymi z najważniejszych dla mnie osób, które tam poznałam, jest mój najlepszy przyjaciel i zarazem duchowy brat - noszący ksywę "Tygrys", i moja przyjaciółka - o ksywie "Pantera". Dla Tygrysa przez pewien czas byłam kimś w rodzaju mentora, co było dla mnie naprawdę wspaniałym doświadczeniem. Na początku nie zwróciłam uwagi na Tygrysa - nie wyróżniał się ani wyglądem ani zachowaniem. Nie zwróciłam na niego uwagi... To on zwrócił uwagę na mnie! Było to w czasie, kiedy pełniłam rolę przewodniczącej na oddziale dziennym - gdzie nie ukrywałam się ze swoim autyzmem, więc łatwo można było wyłapać moją neurospecyfikację. Tygrys, nieco zawstydzony, przysiadł się do mnie i konspiracyjnym szeptem spytał: "Słyszałem, że Ty... Ty... masz Aspergera... Co?", a na moją twierdzącą odpowiedź, dodał: "Bo mi właśnie też Aspergera zdiagnozowano kilka miesięcy temu. Chciałbym mieć z kim o tym porozmawiać." Ja uśmiechnęłam się serdecznie, wyraziłam wobec Tygrysa chęć rozmów na "autystyczne tematy" i, wielce uradowana, pomyślałam sama do siebie: "Tak, jak ja sama przyszedłam do mojego Mentora, tak Tygrys przyszedł do mnie! Uroboros zjadł swój ogon!" [Tygrys zaśmiała się.] Potem chodziliśmy na wspólne spacerki. Dużo rozmawialiśmy - o naszym dotychczasowym życiu, o naszych autystycznych cechach, o relacjach międzyludzkich. Ja mu pomogłam. On pomógł mi. Relacja z Tygrysem również jest dla mnie doświadczeniem korekcyjnym. Dzięki Tygrysowi wiem, co to znaczy kochać mężczyznę jak brata: ciepło, czułość, troskliwość, z dzieleniem się radościami i troskami, z chęcią dawania i brania wsparcia, z chęcią wspólnego spędzania czasu - a jednocześnie bez popędu seksualnego, bez zazdrości i bez chęci rywalizacji. Do czasu poznania Tygrysa posiadanie brata kojarzyło mi się wyłącznie z tym, co wyniosłam z mojego domu rodzinnego - czyli z nienawiścią, konkurowaniem, walką o zasoby i o uwagę rodziców - absolutnie nie z miłością. A Tygrys to odmienił! A partnerka Tygrysa - Pantera - jest jednocześnie moją najlepszą przyjaciółką i moją ukochaną "szwagierką". Mamy wiele świetnych wspólnych wspomnień. Teraz przypominało mi się, kiedy pierwszy raz poszłam w odwiedziny do Tygrysa: w salonie swojego mieszkania ma piękną kanapę precudnie niebieskiej barwy - pomyślałam, że i ja taką muszę mieć! [Tygrys głaszcze swoją niebieską kanapę i uśmiecha się szeroko.] Tak bardzo bałam się trafić do psychiatryka, a tak dobrych ludzi tam poznałam! Naprawdę, dobry psychiatryk nie jest zły!

O Karolu, szalonej miłości i o tym, jak zostałam Lygrys

Skoro już jesteśmy w temacie miłości... Chciałabym opowiedzieć, jaka była historia miłosna pomiędzy mną a moim obecnym partnerem, Karolem.

Karola poznałam, kiedy miałam 13 lat. Okoliczności poznania były takie, że moja ciotka i stryj Karola zostali parą, a moi rodzice wraz ze mną któregoś ciepłego, chyba czerwcowego, weekendu pojechali do nich w odwiedziny. Na spotkaniu rodzinnym był też Karol i jego rodzice – albowiem rodzice Karola i jego stryj dzielą jedno podwórko. Karol od początku mi się spodobał – utonęłam w jego głębokim, przepięknym, błękitnym spojrzeniu spod niemal nienaturalnie długich rzęs. Do tego zawsze nosił seksowne okulary. W sensie wszystkie okulary dodają uroku, ale Karol szczególnie bardzo podoba mi się jako okularnik! A jako stopiara stwierdziłam, że ma wyjątkowo atrakcyjne stopy! [Lygrys zaśmiała się.] Jednak wtedy nie wiązałam z Karolem żadnych nadziei. Stwierdziłam, że skoro jest młodszy – chociaż jedynie o 2 lata – to... uznaje mnie za starą i przez to nie patrzy na mnie jak na potencjalną dziewczynę. Poza tym w tamtym czasie byłam bardzo nieśmiała, sepleniałam i miałam mutyzm wybiórczy – co jeszcze bardziej utrudniało sytuację.

Jednak lata mijały, a ja z Karolem widywaliśmy się kilka razy do roku, przy okazji spotkań rodzinnych. Z biegiem czasu Karol podobał mi się coraz bardziej. I o ile w momencie poznania, był ode mnie niższy o głowę, to w końcu zrobił się ode mnie o głowę wyższy. Niestety, szybko uwikłałam się w związek z Przemkiem – i przyjeżdżałam do Karola jako już zajęta dziewczyna.

Przełomowym dniem dla relacji mojej z Karolem był ślub i wesele mojej ciotki i jego stryja. Miałam wtedy 17 lat. Co prawda byłam wtedy dziewczyną Przemka... Ale Przemek – pomimo zaproszenia i potwierdzenia swojego przyjścia – wystawił mnie i nie przyszedł! Na początku byłam smutna... Jednak już na początku wesela Karol podszedł do mnie i zaprosił do tańca. A ja – jak na nieśmiałe autystyczne łabądko przystało – odmówiłam! [Lygrys zaśmiała się.] Na co Karol się speszył... Ale ostatecznie podszedł do mnie drugi raz! A ja się zgodziłam! Przetkańczyliśmy razem całe wesele! I zrozumiałam wtedy, że Karol szalenie mi się podoba! Wesele się skończyło, a ja nie mogłam sobie wybić Karola z głowy! Jednocześnie wyraźnie widziałam, że ja też się Karolowi podobam!

Tamtej weselnej nocy Karol zrobił swój coming-out i wyjawiał mi tajemnicę o sobie – powiedział mi, że ma zespół Aspergera. Z jednej strony bardzo mnie to zdziwiło, a z drugiej strony bardzo zaintrygowało – w końcu uważałam, że ja i Karol jesteśmy w jakiś sposób do siebie podobni... Dzięki temu tropowi po latach, już jako osoba dorosła dowiedziałam się, że sama mam zespół Aspergera.

Po powrocie z wesela do domu stwierdziłam jednak, że chcę być w porządku wobec Przemka - i tym samym nadal z nim będę w związku. Natomiast Karola chciałam uczynić moim najlepszym przyjacielem...

Kiedy jednak następnym razem miałam okazję odwiedzić Karola... To nadal tak bardzo mi się on podobał i miałam do niego tak silne erotyczne przyciąganie, że rozumiałam, że żadnej przyjaźni z tego nie będzie – przeze mnie! A chciałam pozostać wierna Przemkowi... Zrobiłam więc coś, co mi samej złamało serce...

Podjęłam decyzję o tym, że skoro nie potrafię traktować Karola jedynie jako przyjaciela, to na ten moment życiowy zakończę relację z nim...

Po podjęciu decyzji o ucięciu relacji, widziałam się z Karolem jeszcze jeden raz – po to, by oddać mu książkę „Córka żelaznego smoka”, którą od niego pożyczyłam. Na pożegnanie długo i mocno go przytuliłam – wiedząc, że przytulam go przed długimi latami rozłąki. W czasie przytulania pomyślałam – pomyślałam, ale nie wypowiedziałam: "Wybacz mi, proszę to, co teraz zrobię. Dla mnie ta sytuacja jest zbyt trudna, przerasta mnie. Mam nadzieję, że kiedyś, za kilka lat, będziemy na tyle dorośli, że będziemy w stanie odłożyć nasze trudne uczucia na bok i będziemy mogli ponownie spotkać się i na spokojnie o tym wszystkim porozmawiać. Kiedy poczuję, że nadszedł ten właściwy czas, to sama odezwę się do Ciebie. Mam nadzieję, że do tego czasu oboje będziemy mieli szczęśliwie ułożone życia.

Przepraszam i wybacz mi." Po przytuleniu Karol spytał mnie, czy niedługo znowu się u niego pojawię, na co odparłam: "Nie wiem. Raczej nie." Po czym wyszłam i przez następne 7 lat nie pojawiłam się w tamtym miejscu. Nie odpisywałam też na żadne wiadomości, które Karol do mnie wysyłał. Odczytywałam je, ale nie odpowiadałam na nie. Nie było ich dużo, ale były. A, przepraszam! Jednak pojawiłam się w tamtym miejscu przed upływem 7 lat! Kiedy miałam 22 lata, pojechałam tam - razem z Przemkiem i moimi rodzicami – po to, by zaprosić moją

ciotkę i stryja Karola na mój i Przemka ślub i wesele. Kiedy już siedziałam przy stole z Przemkiem, moimi rodzicami, moją ciotką i stryjem Karola... To wtedy przyszedł Karol! Podeszedł do mnie i powitał mnie słowami: "Cześć, Werka!" – jak gdyby nigdy nic! Ja mu nic nie odpowiedziałam. Potem usiadł po przeciwnej stronie stołu – co prawda nie na wprost mnie, ale tak, że musiałam uważać na to, by przypadkiem na niego nie spojrzeć... A i tak spojrzałam! Tylko raz! Ale prosto w oczy! Aż mnie zmroziło na widok przenikliwego wzroku tych chłodnych, niebieskich oczu!

Po chwili poczułam się dziwnie... Miałam ochotę zabrać ciotce i stryjowi dane już zaproszenia i powiedzieć: "Wybaczenie, ale jednak ślubu nie będzie! Panna młoda nadal woli innego niż pana młodego! Idę do psychiatry!"

Powstrzymałam się jednak i w ciszy wytrzymałam do końca spotkania. Ani słowem nie odezwałam się do Karola.

Niedługo potem zostałam żoną Przemka. A wkrótce zostałam nieszczęśliwą żoną Przemka. Po dwóch latach przeprowadziłam się do Krosna i zostałam nieszczęśliwą żoną Przemka, która nie chce już być żoną Przemka. Jeszcze na około pół roku przed przeprowadzką zaczął regularnie śnić mi się Karol – a dokładnie jego oczy... Te przenikliwe, błękitne oczy! Tuż po przeprowadzce poszłam na konwent, poznałam Mentora i jego syna – i coś we mnie pękło! Stwierdziłam, że ten właściwy czas już nadszedł – i po 7 latach milczenia napisałam do Karola!

Karol odpisał mi niemal od razu. W ogóle nie poruszał kwestii mojego milczenia. Wygadałam się Karolowi z moich problemów małżeńskich i myśli o rozwodzie. Wkrótce też zaczęłam czytać o zespole Aspergera po to, by lepiej zrozumieć, jak Karol postrzega świat – po czym uświadomiłam sobie, że sama mam zespół Aspergera! Specjaliści to potwierdzili... W październiku 2019 roku mówiłam się z Karolem do kina pierwszy raz – u niego, w mieście w moim rodzinnym województwie. Potem, w grudniu 2019 roku, umówiłam się z nim do kina drugi raz – tym razem z noclegiem u niego w akademiku. Kiedy spaliśmy w jednym pokoju na dwóch łóżkach naprzeciwko siebie, to miałam ochotę wejść Karolowi pod kołdrę i mocno się do niego przytulić... Jednak się powstrzymałam. Karol w czasie tamtego wypadu do kina dał mi znać, że mu się podobam... Ja wróciłam do swojej rzeczywistości do Krosna. A parę dni potem Karol zamilkł... No tak, nadal miałam męża. Karol nie chciał być "tym drugim". Ten brak kontaktu trwał 9 miesięcy – od stycznia do września. Z czego ostatnie 3 miesiące to był czas codziennych spacerów z moim Mentorem. Przepraszam, w międzyczasie wysłałam wzruszający list do Karola – 2 kwietnia, na Światowy Dzień Świadomości Autyzmu. Mentor opowiadał mi głównie o relacjach międzyludzkich. Pewnego spaceru zwierzyłam się Mentorowi z uczucia do Karola i z tego, że Karol milczy. Mentor doradził mi, bym po prostu wsiadła w auto i pojechała do Karola! Bałam się tego strasznie – w sensie, jak Karol na mnie zareaguje. Jednak we wrześniu 2020 roku miałam przez trzy dni w rzędu sny o Karolu... Po czym napisałam do matki Karola, czy następnego dnia Karol będzie w domu i czy mogę przyjechać, i czy dochowa ona tajemnicy i nie powie Karolowi, że przyjadę - jej odpowiedzi brzmiały „tak”. Następnego dnia wsiadłam w auto i pojechałam! Karol na mój widok był baaardzo zdziwiony... Ale odnowiliśmy kontakt. Na jakiś czas. Okazało się też, że Karol nie dostawał wiadomości ode mnie, bo dał mi bana na komunikatorze internetowym... Kazałam Karolowi mnie odbanować i znowu pisaliśmy z sobą. W okolicach Sylwestra był kolejny przyływ wątpliwości ze strony Karola – ja nadal miałam tego cholernego męża! Kiedy po Nowym Roku Karol po raz kolejny dał mi bana, to ja byłam już po decyzji kolejnej odmiany swojego życia. 1 marca przeprowadziłam się do Rzeszowa, Karol sam z siebie znowu zaczął się odzywać, a 16 marca złożyłam wniosek o rozwód. Czekałam także w kolejce na terapię na oddziale dziennym psychiatryka. 17 marca pojechałam do Karola na umówione spotkanie. Pokazałam mu, podbity przez sąd, mój wniosek o rozwód. Popatrzył i przyjął do wiadomości. Ale bez szczególnej radości. Podpytywał mnie – po raz już kilkunasty w ciągu ostatniego roku – o moje plany prokreacyjne. Ja jednak znowu odparłam, że nie chcę mieć dzieci i że najprawdopodobniej nie mogę ich mieć z powodu problemów z płodnością. Kiedy chwilę potem przekomarzaliśmy się w żartach, to Karol spontanicznie powiedział: "Wiesz, jaki jest z Tobą problem? Jesteś jak cholerny lygrys!" Zdębiałam i nie wiedziałam, o co chodzi! Karol kazał mi zgadywać, podpowiadając, że lygrys to hybryda. W końcu odparłam

"Sterylny?", na co Karol odparł: "TAK!"

Aaa! Pomyślałam, że więc tu tkwi problem! Startuję w zaloty do faceta, który koniecznie chce mieć dzieci, co mi wiele razy mówił – jednocześnie cały czas mówiąc mi, że nie chcę mieć dzieci i że miałabym problem zająć w ciążę! I co się dziwić tak negatywnej jego reakcji! Po kilku dniach od tego spotkania Karol znowu zamilkł...

Wkrótce, 22 marca, zaczęłam terapię na oddziale dziennym.

1 kwietnia wysłałam do Karola już drugi list na drugokwietniowy Światowy Dzień Świadomości Autyzmu.

21 kwietnia, w ramach pierwszej części zajęć terapeutycznych na oddziale dziennym, każdy z pacjentów miał za zadanie narysować siebie samego jako zwierzę, które najbardziej do niego pasuje. Ja, oczywiście, narysowałam siebie jako lygrysa. Z wielką złością narysowałam siebie jako lygrysa. Lygrysa całkowicie dziwnego – fioletowego w srebrne paski. Pomyślałam: niech będzie taki dziwny, jak i ja! I Sterylny! Sterylny, dziwny lygrys! Po przerwie była pora na drugą część zajęć – pacjenci zamieniali się rysunkami i opisywali, z jakimi cechami charakteru kojarzy im się zwierzę z rysunku... I ktoś tak ładnie podpisał mój rysunek, jako "miły, sympatyczny, odważny, władczy, król zwierząt, łowca, drapieżnik"... Na koniec pani psycholog pytała się pacjentów jako grupy, czy opisy zwierząt zgadzają się z charakterami osób je rysujących... Grupa powiedziała, że u mnie opis całkowicie się zgadza... I zrobiło mi się tak miło na sercu, że od tamtej chwili słowo "lygrys" kojarzy mi się dobrze, a nie źle! A co niektórzy na oddziale zaczęli w żartach mówić na mnie Lygrys... I tak to się rozpowszechniło i dobrze przyjęło, że teraz sama siebie nazywam Lygrysem! To jest moja ksywa, którą bardzo lubię!

Wracając do historii z Karolem: chciałam wiedzieć, jaki skutek na moje zdrowie wywarły tabletki hormonalne, które zażywałam przez 5 kilka lat, a które miały zaleczyć moje problemy hormonalne. Udałam się na wizytę u ginekologa. To było już po mojej wewnętrznej przemianie – kiedy poczułam, że w przyszłości jednak mogłabym zostać matką. Kiedy ginekolog stwierdził, że według niego w ciągu ostatnich 5 lat stan moich jajników poprawił się na tyle, że nie powinnam mieć problemów z zająciem w ciążę, to przeszczęśliwa poprosiłam o wydrukowanie moich wyników i krótkiego zaświadczenia lekarskiego, że według tego badania mój stan zdrowia powinien pozwalać na zającie w ciążę – stwierdziłam, że Karol dostanie ode mnie bardzo nietypowy prezent!

Był początek maja, kiedy Karol ponownie odezwał się do mnie sam z siebie. Przepraszał mnie za swoje milczenie - argumentując, że musiał ogarnąć sprawy związane ze studiami i sprawy ze swoją własną głową. Umówiliśmy się na spotkanie – u Karola, 17 maja.

Na dzień spotkania przygotowałam mój prezent dla Karola: była to teczka z moimi badaniami, zaświadczeniem od ginekologa i "bonem na jajeczko" ode mnie... Sama opracowałam graficznie bon, na którym widniały słowa: "Bon na komórkę jajową wraz z 9-miesięcznym okresem inkubacji od Werki dla Karola, do zrealizowania po 30. r. ż. osoby obdarowywującej!"

Byłam już tak bardzo zdesperowana!!!

I spotkaliśmy się. Przyjechałam do rodzinnego domu Karola, gdzie zostawiłam mój plecak z teczką z bonem, po czym z Karolem udałam się na miasto. Najpierw poszliśmy na dobry obiad do restauracji. Potem na długi spacer po podmiejskiej okolicy – a był maj, więc było wszędzie zielono, kwieciście i pięknie! Na koniec już mieliśmy wracać – a ja chciałam wracać do domu po to, by na koniec udanego dnia dać Karolowi prezent! Jednak Karol powiedział, że chce mnie jeszcze zabrać na spacer do lasu. Niechętnie, ale się zgodziłam. [Lygrys zaśmiała się.] Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i jeszcze większej radości, spacer zakończył się "przygodą" na leśnym runie! Nie dość, że wielkie szczęście, to jeszcze jaka ulga – i z końca pogoni za króliczkiem i z tego, że samemu nie wyszło się na ostatniego desperata! Karol po wszystkim przytulił mnie i powiedział, że dla takiej kobiety jak ja mógłby starać się o in vitro, a moje problemy z płodnością nie stoją na przeszkodzie związku między nami. Ucieszyłam się, że nie tylko ja zmieniłam swoje podejście na bardziej otwarte! Po

powrocie do domu podarowałam Karolowi teczkę z wynikami badań, zaświadczeniem i bonem – chyba nigdy indziej nie widziałam Karola tak szczęśliwego!

Jesteśmy razem. Bardzo wzajemnie się wspieramy. Podchodzimy z szacunkiem i wyrozumiałością do naszych indywidualnych autystycznych potrzeb i ogólnie - do naszych potrzeb nawzajem jako ludzi. Potrafimy się pokłócić, ale też zawsze potem się godzimy. W wielu kwestiach musieliśmy wypracować sobie konsensus, który zadowoliłby Nas obydwoje. Było wiele takich kwestii. A oboje jesteśmy bardzo upartymi ludźmi. Potrafimy toczyć naprawdę długie dyskusje. Ale bardzo się kochamy i zawsze wychodzimy z założenia, że dążymy do pojednania. Bardzo ważne dla mnie jest też to, że Karol pokochał wszystkie moje koty, a one go zaakceptowały i bardzo polubiły.

I jeszcze taka anegdota z naszego związku na koniec tej historii: pewnego dnia poczytałam o lygrysach... Po czym zaśmiałam się głośno i zawołałam Karola: "Chodź! Zobacz, kochanie! Tutaj wyraźnie jest napisane, że u lygrysów jako hybryd panuje biologiczna zasada: samce lygrysów są bezpłodne, ale już samice lygrysów są płodne i mogą mieć dzieci! Widzisz, jak mnie trafnie nazwałeś! Jest nawet lygrysica imieniem Zyta w ogrodzie zoologicznym w Nowosybirsku, która urodziła małe lygrysy – czyli dzieci jej i lwa! Bo lygrysica i lew mogą mieć dzieci! To Ty od dzisiaj jesteś moim Lwem!"

Utrata Mentora

Teraz chcę opowiedzieć o najbardziej traumatycznym wydarzeniu mojego dorosłego życia - które było dla mnie okropnie trudne i traumatyczne, dopóki go nie zrozumiałam i nie przepracowałam. W wyniku czego zamieniło się w kolejny punkt-bodziec do pracy nad sobą.

To było tak: po przeprowadzce do Rzeszowa nie pokazywałam się w Krośnie przez pięć miesięcy. W tym czasie byłam na czteromiesięcznej terapii na oddziale dziennym psychiatrycznym. W ostatni weekend lipca pojechałam do Krosna, by spotkać się z moim Mentorem i powiedzieć mu, że ukończyłam terapię i z radością powrócę do uczestniczenia w życiu grupy... Na co dowiedziałam się, że na tym spotkaniu Mentor chciał mnie poinformować, że prosi mnie... o odejście z tej grupy! Mniejsza o powody odejścia. Zgodziłam się z wolą Mentora i faktycznie odeszłam z grupy. Ale czułam złość! Tak wielką złość! I okropne, dojmujące poczucie odrzucenia... Te poczucie odrzucenia było najgorsze. Oto pierwsza większa grupa, w której poczułam się dobrze, bezpiecznie, w której odczuwałam przynależność... Odrzuciła mnie! Nie chciała mnie! To, oczywiście, zrodziło we mnie dziką złość - naprawdę głęboką! Złość spowodowaną bezsilnością, frustracją i poczuciem odrzucenia. Chciałam dać upust tym uczuciom. I kiedy dowiedziałam się, kto z grupy był wobec mnie nieprzychylny... To obraziłam tę osobę. Napisałam jej kilka gorzkich zdań - używając odpowiednich słów. Nic wulgarnego - przeciwnie. To była dobrze dobrana, spersonalizowana szpila, która miała porządnie zakłuć i zabołeć. Zemścić się. Pokazać, że ja też odrzucam tę osobę, która wcześniej odrzuciła mnie... Już chwilę po wysłaniu tej wiadomości poczułam się źle! Nigdy wcześniej nie zrobiłam czegoś takiego! Dlaczego robię to teraz?!

Kiedy następnego dnia rano włączyłam komunikator na swoim komputerze, to powitała mnie wiadomość od Mentora... A dokładniej: informacja - że jednak źle ocenił moją osobę i go zawiodłam, reprimenda za moje zachowanie, zakaz kontaktowania się z nim i prośba, bym ten zakaz uszanowała. I jeszcze bany na wszystkich komunikatorach i telefonie! Byłam w największym szoku od bardzo dawna! A kiedy uświadomiłam sobie, że to wszystko dzieje się naprawdę... To bolało! TO NAPRAWDĘ BOLAŁO! Wcześniejsze poczucie odrzucenia po odejściu z grupy było niczym przy tym, co poczułam po tym, kiedy straciłam relację z Mentorem. I jeszcze te okropne uczucie, że go zawiodłam...

Długo rozpaczalam po tym wszystkim. Jednak nadszedł dzień, od którego rozpacz ustąpiła miejsce refleksjom.

Moim postanowieniem było nie dopuścić do kolejnej takiej sytuacji. Nie osądzić kogoś zbyt łatwo. Nie zranić kogoś, kto nie zasługiwał na zranienie. A przede wszystkim - w sytuacji konfliktu zawsze szukać dialogu, zrozumienia i porozumienia! Nie szukać winnych, a szukać rozwiązań!

Od tamtej pory intensywnie pracuję nad sobą w tej kwestii. Po około pół roku od tamtego zdarzenia zdołałam wytworzyć w sobie coś, co nazywam "psychologicznym pryzmatem". To taki pryzmat do emocji i do zdarzeń. Kiedy np. dochodzi do konfliktu, kłótni lub po prostu nieporozumienia mnie z inną osobą, to nie działam od razu, a przepuszczam emocje, słowa i zachowania i moje i tej drugiej osoby przez ten pryzmat. W praktyce wygląda to tak, że zadaję sobie mnóstwo pytań, np.: Dlaczego czułam złość na tamtą kobietę? Bo poczułam się z jej strony odrzucona, pominięta i wzgardzona. Dlaczego zachowałam się wobec niej tak, a nie inaczej? Bo chciałam się zemścić. Dlaczego chciałam się zemścić? Bo chciałam, by ona poczuła to, co ja czuję! A dlaczego chciałam, by poczuła to, co ja czuję? Bo chciałam przestać czuć się odrzucona i pominięta, i chciałam, by w końcu ktoś pomyślał też o moich uczuciach! A najprawdopodobniej dlaczego ona zachowała się tak, jak się zachowała? Bo kiedyś ja zachowałam się wobec niej tak, że ona mogła poczuć się zlekceważona, pominięta, poczuła brak wdzięczności z mojej strony. I najprawdopodobniej postąpiła najlepiej, jak mogła postąpić w danej sytuacji, przy całym swoim obecnym stanie wiedzy i doświadczenia.

W tej metodzie bardzo ważne jest to, aby w czasie rozważań, domniemanych emocji i intencji drugiej osoby nigdy nie brać za pewnik - możemy tylko określić co mogło być najbardziej prawdopodobne. Tylko nasze własne uczucia i intencje mogą być pewnikiem - i to tylko po dobrym przemyśleniu ich. Często na pierwszy rzut oka wiele rzeczy wygląda innymi, niż jest w rzeczywistości.

Jestem dumna z siebie, że wypracowałam w sobie ten "pryzmat" - dzięki niemu zyskałam ocean wewnętrznego spokoju, a także wiele empatii i zrozumienia co do emocji i działań innych osób. Co nie znaczy, że wybaczam wszystko każdemu - zawsze należy dbać o swoje zdrowe granice i wyciągać konsekwencje z ich przekraczania. Jeśli ktoś regularnie przekracza nasze granice mimo upomnień - to znaczy, że coś jest mocno nie tak - należy reagować!

Na początku czułam żal i niezrozumienie wobec Mentora. Jednak z czasem one ustąpiły. Teraz myślę, że czuję wobec Niego przede wszystkim ogromną wdzięczność. Za wszystko - nawet za bycie tak surowym wobec mnie. Zawsze pozostanie osobą, która w moim życiu tak wiele zmieniła.

Przynależność i plany na przyszłość

Jeśli chodzi o obecną przynależność do jakichś grup lub organizacji...

Zaczęło się od tego, że - jeszcze przed odejściem z krośnieńskiej grupy - wcieliłam w życie poradę Mentora, abym znalazła ludzi, przed którymi "otworzę się" i będę opowiadać im historie - i w czasie terapii na oddziale dziennym przyjął mi proponowaną mi tymczasową rolę Przewodniczącej. I byłam takim liderem w psychiatryku - aż któregoś dnia zapragnęłam zostać liderem także w normalnym życiu!

Najpierw chciałam założyć grupę dla samych autystów... A potem było moje odejście z grupy z Krosna i strata relacji z Mentorem... Czułam wtedy ogromny żal i rozpacz.

Przeokropną, dojmującą pustkę...

Chciałam tę pustkę zapełnić, więc powrócił do mnie pomysł na założenie grupy - i to o wiele mocniej, niż wcześniej! Potem nadszedł moment ośnienia: "Co jest mocną stroną w grupie Mentora i co tak w tej grupie mi się podobało? Różnorodność! Ludzka różnorodność!"

W międzyczasie podjęłam z kimś współpracę... Niestety, zostałam oszukana. Ale stwierdziłam, że nie poddam się, lecz będę próbować dalej! Tym razem lepiej przypatrując się ludziom.

Mam wielu znajomych o ciekawych zainteresowaniach i zdolnościach, a do tego z zacięciem prospołeczym. Z niektórymi naradzam się już od jakiegoś czasu... I zastanawiamy się nad założeniem swojej własnej fundacji. Planuję, by to była fundacja promująca integracyjne wydarzenia społeczno-kulturowe, działająca na rzecz autystów, kotów i grup z problemami społecznymi, a także promocja felinoterapii. Integracja autystów z nieautystami, ale też ogólnie: integracja różnych grup mniejszościowych i zagrożonych wykluczeniem społecznym. Warsztaty rękodzielnicze. Chciałabym też, by te wydarzenia były połączone z działaniami na cele prokocie - uświadamianie i zbieranie datków na kastrację i dokarmianie kotów bezdomnych.

Cóż... Przypomniało mi się, jak mój Mentor powtarzał, że nasza przeszłość nas nie definiuje. Owszem, nie definiuje nas. Ale to nie oznacza, że nie może nas napędzać! Ja każdego dnia w swoich działaniach, w swoim dążeniu do samorozwoju motywuję się swoją przeszłością. Można powiedzieć, że ja nie skupiam się tym, kim chcę być - ja skupiam się na tym, kim nie chcę być! A nie chcę być antykociarzem. Nie chcę być kimś, kto dyskryminuje. Nie chcę być kimś, kto nie pomaga. Nie chcę być kimś, kto nie ma czasu na idee. Nie chcę być kimś, kto się nie rozwija. Nie chcę być kimś, kto nie ma pasji. A przede wszystkim: nie chcę być dupkiem!

Droga Lygrys, po wszystkich spotkaniach z Tobą szczególną uwagę na mnie zrobiły Twoje słowa do mnie na sam koniec. Powiedziałaś: "Ja wielu z tych rzeczy nikomu wcześniej nie opowiadałam - bo są dla mnie czymś szalenie prywatnym, delikatnym i zawstydzającym. Ale teraz chodzę na terapię indywidualną - i stwierdziłam, że przestanę dusić w sobie to, co naprawdę czuję. Ukrywanie prawdy nie czyni mnie szczęśliwą osobą. Natomiast o wiele lepiej czuję się po tym, kiedy to wszystko opowiedziałam. Myślę, że ta opowieść jest moim katharsis." Uświadomiłam sobie wtedy, jak bardzo otworzyłaś się przede mną i przed każdym, kto będzie to czytał. Byłam poruszony szczerością Twojej opowieści. Twój spokój i uczucie ulgi na koniec były dla mnie niesamowicie ważne. A Twoja odwaga, determinacja i wewnętrzna przemiana dają nadzieję. Dziękuję.